

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Czy bierzesz tego mężczyznę za męża?

Słowa te uprzytomniły Vicky Lawrence, że w tej chwili ostatecznie rozwiąło się marzenie, z którym żyła niemal od dzieciństwa.

Kochała się w Nicku od dwunastego roku życia, ale on nigdy nie popatrzył na nią tak jak teraz na Frankie, kobietę, która w tej chwili składa mu dozonną przysięgę.

Nie ma do niego pretensji o to, że jest szczęśliwy, tym bardziej że od razu widać, że są dla siebie stworzeni.

Niemniej jednak nie byłaby człowiekiem, gdyby nie czuła żalu na myśl o tym, co nie stało się jej udziałem. Tak niewiele brakowało, by teraz ona stała obok Nicka. W dniu, w którym poprosił ją o rękę, była najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem, a miesiące przygotowań do ślubu należały do najbardziej radosnych w jej życiu.

Nie bardzo jeszcze wiedziała, co się zmieniło ani dlaczego tak się stało, lecz gdy Nick wyznał, że chce zerwać zaręczyny, była więcej niż zadowolona.

Powinna cierpieć, dowiedziawszy się, że zakochał się do szaleństwa w lekarce z Denison Memorial. Jeszcze dziwniejsze było to, że poczuła, iż jest za to wdzięczna jego wybrance, doktor Frankie Long.

Stała teraz skromnie pod ścianą, aby nie rzucać się

w oczy, aby jej obecność nie burzyła atmosfery tej podniosłej uroczystości, i wcale nie było jej przykro.

Im bardziej wsłuchiwała się w głos swego serca, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że wcale nie cierpi. Gdyby jednak zwierzyła się z tego komukolwiek z zebranych, absolutnie nikt by jej nie uwierzył.

Od jakiegoś czasu większość koleżanek i współpracowników przesadnie interesowała się stanem jej ducha, przy czym najbardziej irytował ją wyraz głębokiego ubolewania, jaki malował się na wszystkich twarzach.

- Dziękuję, wszystko w porządku - mówiła i poprzestawała na tym uprzejmym zwrocie, mimo że miała szczerą ochotę dodać: Jestem bardzo zadowolona z tego, że Nick zakochał się we Frankie, ponieważ uchroniło mnie to przed popełnieniem bardzo poważnego błędu.

Środowisko jednak wyznaczyło jej rolę porzuconej i nikomu nie przychodziło do głowy, że coś znacznie ważniejszego niż zdrada Nicka zaprzęta jej myśli.

- Trzymasz się? - usłyszała tuż za plecami.

Nie musiała się odwracać. Rozpoznała go po charakterystycznym szkockim akcencie.

Tym razem jej reakcja na to pytanie była zdecydowanie inna. Od paru miesięcy ten głos nieustannie rozbrzmiewał w jej myślach, budząc w niej tęsknotę o wiele silniejszą niż wtedy, gdy była zakochana w Nicku.

- Wszystko w porządku - szepnęła przez ramię, podnosząc wzrok na poważne oblicze doktora Joego Faradaya. Zawsze tak odpowiadała i jak zazwyczaj wyczuła, że Joe jej wierzy.

Sama pracowicie analizowała ten problem. Czy rzeczy-

wiecie tak łatwo jest się pogodzić z utratą czegoś, co przez tyle lat nadaje sens całemu życiu?

Jeszcze raz zerknęła na przystojnego pana młodego, który właśnie nakładał małżonce obrączkę. Kiedyś marzyła o tym, że przypadnie jej rola oblubienicy Nicka, ale w jego oczach nigdy nie wyczytała takiego bezgranicznego oddania jak teraz. W jej obecności nigdy się nie zdobył na taki wyrozumiały, wręcz zachwycony, uśmiech jak pod adresem niecierplivej, dziesięcioletniej Katie, młodszej córki panny młodej z pierwszego, nieudanego małżeństwa.

Westchnęła. Nick postąpił słusznie. Oboje zresztą podjęli właściwą decyzję.

Niestety, przez najbliższe tygodnie miasteczko nie da jej żyć. Tutaj wszyscy się znają lub są spokrewnieni i wszyscy już roztrząsają swoje wersje tego wydarzenia. Będą obchodzili się z biedną porzuconą narzeczoną jak z jajkiem. Ciekawe, jak długo to potrwa, pomyślała.

W tej samej chwili poczuła na ramieniu jego dłoń.

- Nie musimy im asystować do samego końca - szepnął.

Co się dzieje? W tej chwili otoczył ją ramieniem doktor Joe Faraday, najbardziej skryty mężczyzna, jakiego spotkała w ciągu całego swojego życia.

Zaczęła tu pracować pół roku temu i wydawało się jej, że przez ten czas spojrział na nią nie więcej niż pięć razy. Prawie nigdy się do niej nie odzywał. Nawet gdy opiekowała się nim po wypadku, w którym rozjuszony byk przetrącił mu ramię, traktował ją z zapałem gderliwego jeża.

- My? Nie musimy? - Przyszło jej do głowy, że może się przestęszczała...

- Zaproszenie na przyjęcie było nieoficjalne - przypominał jej. - Jeśli masz ochotę, moglibyśmy pojechać na kolację gdzie indziej.

Trudno było się oprzeć takiej kuszącej propozycji. Tym bardziej że od miesięcy robiła wszystko, by Joe ją zauważył. Nie spodziewała się, że jej domniemane nieszczęście sprawi, że ten odludek zdecyduje się zmniejszyć dystans, jaki zachowywał wobec całego świata. Nieformalny charakter weselnego przyjęcia miał na celu umożliwienie uczestnictwa w nim pracującym na różnych zmianach przyjacielom i personelowi.

- Nie mogę - odparła zniżonym głosem.

Starła się ukryć rozczarowanie. Przez tyle czasu dokładała starań, by przedrzeć się przez zaskieki, jakimi Joe dość skutecznie odgrodził się od świata, a teraz musi mu odmówić. Czy rzeczywiście?

- To tylko propozycja - dodał i odsunął się.

Chwyciła go za rękaw marynarki.

- Zrozum, muszę się pokazać na tym przyjęciu, żeby nie dawać im powodu do plotek. Ale mogę wcześniej wyjść.

Poczuła na sobie zaintrygowane spojrzenia paru zaproszonych gości. Wcale sobie tego nie wymyśliła. Bacznie śledzono każdy jej krok. Czasami gorąco współczuła złotym rybkom w kulistych akwariach.

- Wystarczy, że tylko się pokażesz?

Przytaknęła.

- A potem z czystym sumieniem będziesz mogła się wyknać? - upewnił się Joe.

Gdy ponownie skinęła głową, odpowiedział jej łobuzerskim uśmiechem.

- Miejmy nadzieję, że kolejka składających życzenia będzie krótka - powiedział, zniżając głos i jednocześnie growiąc spojrzeniem dwie ciekawskie kobiety, które siedziały przed nimi.

Na pewno damy te nie słyszały o czym rozmawiali, ale Vicky już wcześniej zauważyła, że zerkają na nią i jej towarzysza częściej, niż na młodą parę.

Miejmy nadzieję, że nie gapiły się, gdy Joe ją objął. Wspominała to bardzo miło i nie życzyła sobie, by stało się tematem plotek.

- Od tej chwili jesteście mężem i żoną...

Mimo przekonania, że wszystko ułożyło się jak najlepiej, bała się tej chwili. Jak zaczarowana patrzyła na Nicka, który bierze Frankie w objęcia.

Jak gorliwie się do tego zabrał! Nawet nie czekał na tradycyjną formułkę pozwalającą panu młodemu pocałować oblubienicę. Robił to bardzo namiętnie. A kiedy był z nią, Vicky, jego pocałunki były zaledwie muśnięciem.

Jakie wrażenie robi taki pocałunek, w który mężczyzna wkłada całe swoje serce i duszę?

- Nie musisz na to patrzeć - usłyszała szept Joego.

Delikatnym gestem odwrócił jej twarz w swoją stronę i z wyrazem współczucia wpatrywał się w jej oczy.

- Nikt nie miałby ci za złe, gdybyś nie przyszła - dodał.
- Mogłaś załatwić sobie dyżur o tej porze.

Jego słowa spłynęły niczym balsam na jej serce, uświadamiając jej jednocześnie, że Joe nie zna prawdziwego powodu, dla którego z takim spokojem pozwoliła Nickowi odejść. Nikt go nie znał, nawet samemu Nickowi nie powiedziała całej prawdy. Aby uspokoić jego sumienie, wy-

znała mu tylko, że zakochała się w kimś innym, ale nie wyjawiała jego imienia.

- Gdybym się na to zdecydowała - odparła - sprawiłabym im przykrość, a ludzie zaczęliby snuć niesłychane domysły, co się ze mną dzieje i gdzie liżę rany.

- Więc postanowiłaś pokazać się wszystkim plotkarom z podniesioną przyłbicą.

Nowożeńcy, wraz z dwiema wniebowziętymi druhenkami, wychodzili z sali.

- Gorzej się czułam, kiedy wszyscy nieustannie mnie wypytywali o przygotowania do ślubu. Przyznam się, że najbardziej obawiam się tego przyjęcia.

- Niepotrzebnie. Zapomniałaś, że mamy złożyć życzenia i błyskawicznie się ulotnić? - zapytał, podając jej ramię, gdy wychodzili przed budynek.

Nie spodziewała się, że ten nieoczekiwany gest tak bardzo podniesie ją na duchu. Poczwała w tej chwili, że Joe jest jej przyjacielem... opiekunem.

- Proszę tutaj! - Odwrócili się w tym samym momencie, gdy zabłyśła lampa fotografa. - Ślicznie! Dziękuję. - Młody człowiek już gotował się do skoku na kolejnych gości.

Mimo ładnej pogody, jaka panowała tego dnia, marzec w Cumbrii nie sprzyja długim sesjom fotograficznym na świeżym powietrzu, więc niespełna dziesięć minut później wszyscy ruszyli do hotelu nieopodal, gdzie miało odbyć się weselne przyjęcie.

Joe nie był zachwycony.

Nie lubił tłoku, a przede wszystkim takiego rozgardia-

szu. Wolał nie myśleć, jaki tu będzie rejwach po pierwszym lub drugim drinku.

Od paru lat jego kontakty z przedstawicielami gatunku ludzkiego ograniczały się do spotkań co najwyżej z drugim osobnikiem. Zdążył się już do tego przyzwyczaić. Największym skupiskiem ludzi, jakie tolerował, były poranne spotkania z kolegami w pracy.

Miał nieodpartą ochotę natychmiast stamtąd uciec, lecz nieznaczny uścisk dłoni na ramieniu, jakby Vicky wyczuła jego zamiary, przypomniał mu, że nie wolno mu zostawić jej na pastwę losu.

Zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma obowiązku zajmować się Vicky Lawrence. Edenthwaite to jej rodzinne miasteczko i na pewno ma tu liczną rodzinę i mnóstwo znajomych, którzy mogą ją pocieszać.

Ona najwyraźniej jednak uparła się nikogo w tę sprawę nie angażować.

On ze swej strony zamierzał tylko się pokazać, by z czystym sumieniem móc powiedzieć, że brał udział w uroczystości, lecz gdy ujrzał tę kobietę samotnie stojącą pod ścianą, jakiś wewnętrzny głos kazał mu do niej podejść.

Odruch ten był mu zupełnie obcy. Nie bez przyczyny przezywano go szkockim pustelnikiem. Tym razem z całej postawy Vicky biło cierpienie, uczucie, które znał chyba najlepiej.

Stwierdził, że jej towarzystwo nie jest mu niemiłe. Wręcz przeciwnie.

Vicky Lawrence jest piękną, młodą kobietą, bardzo troskliwą, przy czym ta jej chęć niesienia pomocy innym nie ogranicza się do pacjentów. Był zaskoczony tym, że zech-

ciała poświęcić mu tyle czasu, gdy miał zwichnięty staw barkowy.

To zrozumiałe, że taki uraz wiąże się z istotnym ograniczeniem ruchów. Początkowo tłumaczył to sobie jako po prostu zainteresowanie medycznym przypadkiem, lecz nie znajdował wyjaśnienia, dlaczego, gdy już odzyskał pewną sprawność, nadal pilnie wyręczała go w różnych domowych zajęciach.

Miło było pomyśleć, że piękna Vicky zmienia jego pościel lub segreguje jego rzeczy do prania. Poinformował ją jednak, że tym zajmuje się kobieta, która przychodzi do niego sprzątać. Nie udało mu się jednak wytłumaczyć jej, że nie musi robić mu zakupów ani zmieniać zabrudzonego temblaka.

Teraz ona potrzebuje pomocy. Emocjonalnej tym razem. Łatwiej będzie mu znieść tę wrzawę, jeśli potraktuje to jako sposób odwzajemnienia się jej, tym bardziej że, gdy tylko złożą życzenia młodej parze, czeka ich wspólna, spokojna kolacja. Warto poczekać na tę okazję nawet całą godzinę.

Gdy pomógł Vicky zdjąć płaszcz i przewiesił go sobie przez rękę, co miało ułatwić im jak najszybsze opuszczenie towarzystwa, dostrzegł dyskretną elegancję jej szafirowej sukienki. Zazwyczaj nie-zwracał uwagi na takie rzeczy, ale tym razem uderzył go sposób, w jaki materiał podkreślał jej kształty na co dzień ukryte pod bezpłciowym szpitalnym uniformem.

Co się z nim dzieje? Gapi się na nią jak zauroczony, zamiast wspierać ją w trudnej chwili. Odwrócił wzrok, by popatrzeć na salę wypełnioną uśmiechniętymi gośćmi.

Napotkał kilka zdziwionych spojrzeń skierowanych

w ich stronę. Co gorsza, ten cholerny fotograf znowu zaczął kręcić się w pobliżu, najwyraźniej bardziej zainteresowany Vicky niż panną młodą.

Jack Lawrence na pewno nie jest zachwycony, widząc swą siostrę w jego towarzystwie, lecz jako drużba pana młodego nie ma czasu się nią zajmować. -

To i tak tylko jeden wieczór, więc zniesie po męsku te spojrzenia i szepty.

Z drugiej strony nie bardzo wiedział, czy rzeczywiście chce się uwolnić od tej wymuszonej bliskości.

Przyjemnie jest znowu stanowić z kimś parę, nawet jeśli to tylko pozory. I to na krótko. Nie ma mowy o czymś więcej. Ta dziewczyna mogłaby być jego córką! Ile ona ma lat? Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa?

Stanowczo za młoda dla mężczyzny liczącego trzydzieści siedem lat, nawet gdyby zamarzyła mu się jakaś bliższa zażyłość.

Dzisiaj będzie ją ochraniał, ale jutro wszystko wróci do normy. Już wykorzystał swą szansę na dozgonne szczęście i przez jakiś czas miał wszystko, czego można pragnąć. Zdążył już pogodzić się z samotnością, nie bacząc na to, jak jego ciało reaguje na wdzięki Vicky.

- Gotowa? - zapytał półgłosem.

Gdy wzięła go pod ramię, poczuł się dziwnie zadowolony. Wzięła głęboki oddech, przygotowując się na to, co ją czeka, i spojrzała mu w oczy.

- Tak - odparła i ruszyli w stronę młodej pary.

- Wszystkiego najlepszego - rzekł Joe energicznym głosem i uścisnął dłoń Nicka.

Przez myśl przebiegło mu pytanie, czy w dniu własnego ślubu na jego obliczu malowało się równie wielkie szczęście.

- Życzę wam obojgu dużo szczęścia - dodała z głębi serca jego towarzysza.

Obserwował ją podejrzliwie, gdy rozmawiała z Frankie, zastanawiając się, czy udaje. Niestety, nic na to nie wskazywało. Z jednej strony powinna mieć żal do kobiety, która odbiła jej narzeczonego. Z drugiej, uznał, że Vicky chyba szczerze lubi Frankie i zapewne życzy jej jak najlepiej.

Czyżby ta dziewczyna była aż tak cyniczna? Przez kilkanaście lat usychała z miłości do przyjaciela brata, aż w końcu, całkiem niedawno, zaręczyli się. Jak można być tak zmiennym w uczuciach?

Może należy do tego typu osobowości, które tracą zainteresowanie, gdy tylko posiadają coś, o czym marzyły?

To niemożliwe. Jest pierwszą osobą, odkąd stracił Celię, która obudziła w nim opiekuńcze instynkty.

Rozmawiała teraz z Nickiem. Uśmiechała się i swobodnie z nim gawędziła, ale tylko Joe czuł, jak mocno wbija palce w jego ramię. Przykrył je dłonią, aby ukryć ich biel. Niestety, pan młody zauważył ten gest. Omiótł badawczym spojrzeniem ich twarze, a potem dłonie.

Joe nie mógł cofnąć ręki ani zacząć się tłumaczyć. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia, toteż popatrzył Nickowi w oczy jak mężczyzna mężczyźnie, jakby rzucając mu wyzwanie. Z czasem się wyjaśni, że było to przedstawienie, które oboje z Vicky przygotowali na tę okazję.

Chyba że...

W oczach Nicka zamigotało coś, co Joe odczytał jako aprobatę. Przestraszony, zapragnął jak najszybciej ukryć się w swoim własnym bezpiecznym świecie.

Nie interesują go żadne nowe związki. Koniec sprawy.

To nic, że Vicky jest pociągająca, że przyjemnie jest czuć jej dłoń na ramieniu i mieć świadomość, że ten kontakt dodaje jej otuchy; że ślicznie pachnie, że jej złote włosy pięknie odcinają się od ciemnej tkaniny jego garnituru... Nieważne, że od lat nie czuł takiej ochoty do życia, jak przez minioną godzinę, oraz że cieszy się z powodu czekającej ich kolacji we dwoje.

Po prostu już raz przez to przechodził i pozostało mu jedynie zranione serce.

Już mieli się żegnać, gdy Frankie, blada jak ściana, chwyciła Nicka za dłoń i pociągnęła w stronę najbliższej toalety.

- O, przepraszam - bąknął nieco speszony pan młody.
- Oto dowód na to, że poranne mdłości nie muszą występować wyłącznie rano.

Gdy Joe zorientował się, że Frankie jest w ciąży, poczuł, jak ogarnia go fala bolesnych wspomnień. Reakcja Vicky, mimo że starannie stłumiona, uzmysłowiła mu, że i ona słyszy o tym po raz pierwszy.

Dzięki Bogu śmiech wśród zebranych wywołany tak nietypowym sposobem informowania o przyszłym ojcostwie zapobiegnie dociekaniom, dlaczego on i Vicky ulotnili się tak szybko.

- Teraz nikt nie zauważy naszego zniknięcia - rzekł półgłosem, lecz Vicky mu nie odpowiedziała.

Gdy prowadził ją do wyjścia, zastanawiał się, dlaczego niespodziewanie wydała mu się taka krucha. Na wszelki wypadek zgromił spojrzeniem natrętnego fotografa, który szykował się do kolejnego ujęcia. Vicky zdecydowanie nie jest w nastroju do pozowania. Obawiał się nawet, że gdyby przyspieszył kroku, mogłaby rozsypać się na kawałki.

Ruszała się jak manekin. Machinalnie włożyła płaszcz, który jej podał. Wyprowadził ją na parking.

Gdy znaleźli się w samochodzie, czekał, aż zapnie pas, lecz ona tępo patrzyła przed siebie.

- Zapnij pas.

Gdy popatrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, uznał, że musi ją w tym wyręczyć. Robił to tak ostrożnie, jakby miał do czynienia ze zranionym zwierzęciem.

Chociaż pragnął wziąć ją za ręce i przekonać, by wyjaśniła mu, co sprawiło ją w ten stan, postanowił ruszyć spod hotelu jak najszybciej, aby nikt z gości nie zobaczył ich w jego samochodzie.

Domyślił się, że wspólna kolacja nie dojdzie do skutku. Powinien odwiedzić Vicky do domu. Lecz do czyjego?

Na skrzyżowaniu, tuż za miejscem, gdzie doszło do jego niefortunnej konfrontacji z bykiem, należało podjąć decyzję. Jedna droga prowadziła do jej domu, druga do zaadaptowanego kamiennego domostwa, które Joe traktował bardziej jak swoją samotnię niż przytulne gniazdko.

Z jednej strony, nie bardzo lubił wpuszczać obcych do swej cichej przystani, z drugiej, równie złym rozwiązaniem byłoby tego akurat wieczoru skazywać Vicky na samotność w jej własnych czterech ścianach.

Trzeba ją nakarmić, pomyślał, kierując się do siebie. Nie wiadomo, czy ma coś w lodówce, podczas gdy on dzięki jej troskliwości ma jedzenia w bród. Nie bez zadowolenia pomyślał, że nakarmi ją tym, co wybrała i kupiła dla niego.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył i zatrzymał się przed domem.

Nie zdziwił się, że nie skomentowała jego decyzji, by

przywieźć ją tutaj. Niepokój ogarnął go dopiero wtedy, gdy nie zareagowała, gdy otworzył drzwi po jej stronie.

W bezlitosnym świetle samochodowej lampy wyglądała jak marmurowy posąg, z tą tylko różnicą, że po marmurowych obliczach nie spływają srebrne łzy.

- Wsiadamy - zachęcał ją, odpinając pas.

Chyba nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze. Chyba w ogóle nie wiedziała, w jakim jest stanie.

Gdy kuchennymi drzwiami weszli do domu i udali się prosto do kuchni, natychmiast włączył niezawodny piecyk i posadził Vicky jak najbliżej źródła ciepła. Nawet nie pomyślała o tym, by zdjąć płaszcz.

Zdezorientowany przyglądał się jej w milczeniu. Przecież on jej prawie nie zna. Jak jej pomóc?

- Herbata! Herbata jest najlepsza na wszystko - mruknął do siebie.

Co teraz? Z wykładów z psychologii zapamiętał tylko tyle, że stan ciała takiego jak ona człowieka jest nie lepszy niż stan jego umysłu. Chcąc nie chcąc, zajął się przygotowaniem herbaty: postawił na blacie kubki, wyją mleko z lodówki, wlał mleko do kubków i czekał, aż herbata nabierze mocy.

Czy ona pije herbatę z cukrem? Nigdy się tym nie interesował. Nie szkodzi. Osobie na granicy szoku cukier doda sił.

Przykucnął obok krzesła i wsunął kubek w lodowate dłonie Vicky.

- Gorąca, ale spróbuj wypić. - Na widok jej łez poczuł nie znany dotychczas skurcz w klatce piersiowej. - Proszę cię, Vicky, pij. Herbata dobrze ci zrobi.

Popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem, a łzy ciurkiem spływały jej po twarzy.

- Napij się. - Dotknął dłonią mokrego policzka, by na niego popatrzyła. - Pij. To ci pomoże.

- Joe...

Nigdy nie widział jej w takim stanie.

Pracując z nią, on, który unikał wszelkich spotkań z rozbawionym gronem pracowników Denison Memorial, zdażył się zorientować, że Vicky jest osobą pełną energii i humoru. Pierwszy raz widzi ją tak... załamana.

- Pij. - Próbował podnieść jej kubek do warg.

- Przestań. Nie chcę herbaty. Chcę wiedzieć...

Wargi jej zadrżały. Starając się opanować, wzięła głęboki oddech.

- Co chciałabyś wiedzieć? - zapytał półgłosem. - Jak mogę ci pomóc? Może coś zjesz?

Pomyślał, że nie jest dyplomowanym kucharzem, ale potrafi jako tako gotować.

- Och, Joe, to mi nie pomoże. Muszę dowiedzieć się, dlaczego...

- Nie rozumiem. - Była to święta prawda. - Dlaczego Nick ożenił się z Frankie? Teraz już wiadomo...

- Nie o to mi chodzi. - Wyglądała na zniecierpliwioną.
- Wiem, że ożenił się z nią, bo ją kocha. Bo pokochał ją mocniej niż mnie...

- Daj spokój, nie zadrećzaj się.

Czuł, jak pot spływa mu po plecach. Uznał, że nie chce dłużej ciągnąć tej rozmowy. Przecież nie ma pojęcia, co ona teraz czuje. Celię poznał jeszcze w szkole i do jej śmierci nikt dla niego nie istniał poza nią.

- Muszę - odparta jakby z ożywieniem. - Wiem, że oboje postąpiliśmy słusznie, odwołując ślub i naprawę życzę im jak najlepiej... ale muszę się dowiedzieć, co jest ze mną nie w porządku.

- Nie w porządku? Z tobą? - Jak, na litość boską, przebiegają procesy myślowe u kobiet? - Zapewniam cię, że niczego ci nie brakuje.

- Musi być coś takiego - odparta wyzywającym tonem. - To raczej ja powinnam być teraz w ciąży, a nie Frankie.

- Ty?

Speszył się. Czy ona chce być w ciąży? Chyba nie, skoro nie ma męża.

- Joe, oni poznali się niespełna parę tygodni temu - wypaliła - a już się pobrali. To znaczy, że z pójściem do łóżka nie czekali na ślub, skoro ona już nosi jego dziecko. Byliśmy zaręczeni przez pół roku, a on tylko kilka razy mnie pocałował albo objął!

ROZDZIAŁ DRUGI

Od dwóch dni Vicky starała się pojąć, dlaczego to powiedziała oraz dlaczego zwierzyła się ze swego największego problemu akurat Joemu!

Na samo wspomnienie tego wybuchu ze wstydu robiło się jej na przemian zimno i gorąco.

Nie mogła przestać o tym myśleć. Nie dość, że jest chyba jedyną dwudziestosześcioletnią dziewczyną w całym Edenthwaite, to jeszcze musiała pożalić się Joemu, jedyne-
mu mężczyźnie, którego opinia dla niej się liczy!

Jak ona teraz spojrzy mu w oczy?

Na dodatek przez cały czas musi znosić współczujące uwagi i spojrzenia różnych osób z powodu nagłego ślubu Nicka z Frankie. Gdyby do tego jej koleżanki dowiedziały się jeszcze, że dziecięca fascynacja Nickiem pozbawiła ją szansy na przelotne miłości, w jakie obfitowały ich życio-
rysy, do końca życia nie zaznałyby spokoju.

Czy może liczyć na dyskrecję Joego?

Na pewno nie zdobędzie się na to, by go poprosić o zachowanie dla siebie tego, co mu powiedziała.

- Vicky, telefon do ciebie! - zawołała jedna z młod-
szych pielęgniarek.

To bez wątplenia ktoś z laboratorium, kto chce przekazać jej wyniki badań, o które prosiła.

- Vicky Lawrence. Halo? Kto mówi? - rzuciła do słuchawki.

Niedoszły rozmówca przerwał połączenie.

- Sue, czy ta osoba się przedstawiła? - zwróciła się do koleżanki.

- Nie. To był mężczyzna. Chciał z tobą rozmawiać. Nic więcej nie mówił.

- Mężczyzna? - spytała zdziwiona. Spodziewała się telefonu od kobiety. - Trudno. Zadzwoń jeszcze raz.

- Jasne. Oby tylko nie było to coś skomplikowanego. I żeby nie zadzwonił w porze lunchu pacjentów.

Vicky westchnęła. Nierzadko miały tylu pacjentów, którzy wymagali pomocy przy jedzeniu. Z niewiadomego powodu pacjenci z geriatry już nie mieścili się na swoim oddziale specjalistycznym i część z nich przeniesiono na jej oddział. Teraz musiała nakarmić starszego pana, który miał obie nogi na wyciągu, oraz sześćdziesięcioletnią kobietę, zagorzałą weganę z licznymi złamaniami kręgosłupa, kompletnie unieruchomioną.

Nadzoru wymagał też ponadpięćdziesięcioletni pacjent z zespołem Downa, który wprawdzie potrafił jeść samodzielnie, ale należało go pilnować, by zjadł posiłek, zanim całkiem ostygnie. Pewną pociechą było to, że z powodu złamanej nogi nie ruszy się z miejsca. Jego opiekunowie ostrzegli personel, że gdy tylko będzie mógł chodzić, na pewno zacznie wędrować po całym ośrodku.

- Tylko mi tego brakuje do szczęścia! - mruknęła, w myślach układając sobie, komu przydzielili pacjentów wymagających nakarmienia. - My też kiedyś musimy się pożywić.

Machinalnie podniosła słuchawkę telefonu, który znowu się rozdzwonił.

- Siostra Lawrence z oddziału ogólnego - przedstawiła się. Dalej zastanawiała się, jak rozwiązać problem nakarmienia chorych.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że nikt się nie odezwał. Czyżby ktoś znów przerwał połączenie?

- Halo? Kto mówi?

Mimo że po drugiej stronie panowała absolutna cisza, zorientowała się, że ktoś jej słucha. Włosy zjeżyły się jej na karku, jakby stała w przeciagu. To przecież niemożliwe w takim nowoczesnym budynku, pomyślała.

- Przepraszam, ale jestem bardzo zajęta. Jeśli nikt się nie odezwie, odłożę słuchawkę.

Postanowiła liczyć do pięciu. Gdy doliczyła do czterech, usłyszała tylko jedno słowo, po czym rozmówca przerwał połączenie.

- Co się stało, Vicky?! - zapytał Joe, gdy z piskiem rzuciła słuchawkę.

Trzęsa się. Wcale nie dlatego, że Joe ją przestraszył.

- Co ci jest? Mogę ci pomóc? Czy mam przyjść później?

- Nie! Nie idź!

Strach wywołany tym telefonem okazał się o wiele silniejszy od zakłopotania na myśl o ponownym spotkaniu z Joem.

- Co się stało? Źle się poczułaś? - dopytywał się.

Spojrzenie jego piwnych oczu podziałało na nią jak koci balsam.

- Nic mi nie jest... Wyprowadził mnie z równowagi ten tajemniczy telefon. Mam wrażenie, że to nie był pierwszy

raz. - Przypomniała sobie podobną sytuację z poprzedniego dnia.

- Tajemniczy? Dlaczego? Kto to był?

- Nie wiem.

- Czego chciał?

- Nie wiem, czego chciał. Przedtem nic nie powiedział, ale dzisiaj...

- Co to znaczy, przedtem? - Nie pozwolił jej dokończyć. - O co chodzi? Odrażony adorator? Do niedawna byłaś zaręczona. Czy mam rozumieć, że ktoś cię prześladowe? Od kiedy?

- Nikt mnie nie prześladowe - zapewniła go, a mimo to poczuła, że robi się jej niedobrze.

Cóż za nedorzeczny pomysł. W takiej dziurze jak Edenthwaite? Może jednak Joe ma rację? Ostatnio takie „milczące” telefony zdarzały się podejrzanie często.

- Sama nie wiem. Może rzeczywiście ktoś mnie szpieguje-

- Spokojnie. - Ujął jej dłoń. Ku swojemu zdziwieniu nagle poczuła, że Joe na pewno ją obroni. - Opowiedz mi wszystko od początku.

- Właściwie to nic się nie stało, oprócz paru dziwnych telefonów. Dopiero dzisiaj zorientowałam się, że to jest mężczyzna, bo po raz pierwszy się odezwał.

- Skąd dzwonił? Przez wewnętrzną centralę? Czy z zewnątrz? Jaki był odbiór? Czy to była komórka? Znasz ten głos? Może miał nietutejszy akcent?

- Powiedział tylko jedno słowo. Moje imię. - Zadrżała na wspomnienie tego złowieszczego szeptu.

- Powiedział „Vicky” czy „siostra Lawrence”?

- Ani jedno, ani drugie. Victoria. Pozwól mi po kolei odpowiedzieć na te wszystkie pytania. Czy w poprzednim wcieleniu byłeś Sherlockiem Holmesem?

- Przepraszam - odparł i uściśnął mocniej jej dłoń - ale pytania same cisną mi się na usta. Pamiętasz, co ty powiedziałaś? Podałaś mu swoje nazwisko czy tylko nazwę oddziału?

- Mam wrażenie, że dzwonił z miasta - zaczęła, porządkując swoje wrażenia. - Usłyszałam pogłos, którego nie ma na naszych liniach wewnętrznych, więc automatycznie przedstawiłam się jako siostra Lawrence z oddziału ogólnego.

- Co on na to?

- Najpierw milczał. Przemówił, dopiero kiedy powiedziała, że jestem bardzo zajęta, i zaraz odłożył słuchawkę. To wszystko.

- A te wcześniejsze telefony?

- Nie zwróciłam na nie uwagi - wyznała. - Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że te wszystkie głuche telefony to była ta sama osoba.

- Powiedział coś więcej? Wydawał jakieś odgłosy?

- Tylko moje imię.

- Jak on to zrobił? Jakim tonem? Głośno czy szeptem?

- Trudno to nazwać szeptem. Victoria... - powtórzyła, starając się jak najwierniej oddać intonację. - Nie wiem, kto to był, ani nie potrafię powiedzieć, czy pochodzi stąd, czy miał nietutejszy akcent.

Oczy Joego pociemniały. Analizował w myślach każde jej słowo. Wiedziała, że to głupie z jej strony, ale bardzo chciała, by znalazł jakieś bardzo proste wyjaśnienie tego niepokojącego skądinąd wydarzenia.

- Czy ktoś ci je przekazywał? Te telefony? - zapytał, patrząc jej głęboko w oczy.

- O co ci chodzi? - Ściągnęła brwi.

Zrozumiała to pytanie dopiero po chwili i przeraziła się jego implikacjami. Zerwała się z miejsca, cofając dłoń. Po co ten bliski, fizyczny kontakt, skoro między nich wkradło się podejrzenie?

- Pytasz, czy ktoś może to potwierdzić? Czy sobie tego nie wymyśliłam?

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie. On tymczasem siedział spokojnie na brzegu biurka, jak gdyby przed chwilą nie zarzucił jej sfabrykowania całej tej historii. Po co miałyby to robić? Owszem, jej ślub nie doszedł do skutku, ale nie oznaczało to, że narzeka na brak towarzyskich rozrywek.

- Uważasz, że zmyślam, żeby wymusić na innych współczucie, ponieważ dostałam kosza? Myślisz, że jestem aż taka głupia?

- Uspokój się. Nie to miałem na myśli. Interesuje mnie, czy rozmawiał z osobami, które przekazywały ci telefon. Może one mogą dostarczyć dodatkowych informacji.

- Przepraszam... - Zwiesiła głowę, zbierając się na odwagę, by spojrzeć mu w oczy. - Przepraszam. Tym bardziej że chcesz mi pomóc. Może w ogóle nie warto się tym przejmować, ale przyznaję, że bardzo się przestraszyłam.

- Nie bez powodu. W dzisiejszych czasach takie rzeczy zdarzają się coraz częściej. Podejrzewam, że statystyki nie wykazują wszystkich takich przypadków, ponieważ kobiety boją się, że zostaną wyśmiane.

- A ja na ciebie naskoczyłam. Wybaczysz mi?

- Oczywiście. Pod warunkiem że zawiadomisz mnie, jeśli to się powtórzy.

Jako dziewczyna niezależna pomyślała, że sama sobie z tym problemem poradzi, ale zorientowała się, że Joe oczekuje innej odpowiedzi. Poza tym to przecież niezły pretekst, aby nie tracić z nim kontaktu.

- Obiecuję, ale z zastrzeżeniem, że ty pozwolisz mi podjąć cię kolacją. W podzięce.

- Za co masz mi dziękować? Zapomniałaś już, ile dla mnie zrobiłaś po tym moim kompromitującym pojedynku z bykiem? Proponuję ci tylko tyle, że cię wysłucham.

Był wyraźnie zakłopotany jej zaproszeniem. Aż lekko się zaczerwienił.

- Ponadto zająłeś się mną, kiedy załamalam się po ślubie Nicka - zauważyła.

Uparła się, że dopnie swego.

- To gdzie się spotykamy? U ciebie czy u mnie?

Rozmowę przerwało im czyjeś chrząknięcie, które Joe przyjął z wyraźną ulgą, Vicky natomiast była zła, ponieważ nie miała pewności, co zamierzała odpowiedzieć.

W drzwiach stał mężczyzna. Sprawiał wrażenie nieco speszzonego obecnością Joego w jej pokoju, lecz natychmiast szeroko się uśmiechnął i wyciągnął dłoń w powitalnym geście.

- Przyszedłem się przedstawić. Jestem Grant Naismith. Zastępuję jednego z lekarzy w jednej z tutejszych przychodni. Skierowałem wczoraj pacjentkę do szpitala i chciałem się dowiedzieć, co u niej słyhać. - Zwrócił się do Vicky. - Chyba byliśmy na stażu w tym samym szpitalu.

Bąknęła, że to bardzo możliwe, lecz za nic w świecie

go sobie nie przypominała. Trudno się dziwić, ponieważ wtedy interesował ją wyłącznie Nick.

Grant trzymał jej dłoń nieco za długo, przyglądając się jej z nieskrywanym podziwem. W jej oczach natomiast nie zyskał takiej aprobaty, jak stojący u jej boku Joe.

Grant był tego samego wzrostu. Rysy twarzy miał wprawdzie bardziej regularne niż Joe, lecz nie doszukała się w nich tak pociągających cech doktora Faradaya, jak absolutna niezależność oraz wewnętrzna siła.

- Kogo nam pan przysłał?

Przysunęła się do komputera, by nie być tak blisko nowo przybyłego. Mimo że miała mu za złe, iż przerwał jej w krytycznym momencie, musi wykazać się profesjonalizmem.

- Panią Frawley. - Wymienił też nazwę przychodni, w której miał zastępstwo.

- Nie mam jej w ewidencji. Jaki był powód skierowania?

- To starsza pani. Gdy ją badałem, była w bardzo złym stanie. Z jej karty wynika, że od lat ma problemy z sercem.

- Może jest na geriatric - zauważyła Vicky.

Najchętniej pozbyłaby się go jak najszybciej, aby Joe jej nie umknął.

- Już tam byłem. Powiedziano mi, że na geriatric zabrakło łóżek i niektórzy pacjenci leżą w innych miejscach.

Przejrzała w komputerze listy pacjentów na wszystkich oddziałach. Otworzyła ostatni spis.

- Niestety, doktorze Naismith. Pani Frawley zmarła w drodze do szpitala. Mam ją na liście zgonów.

- Marny początek - mruknął pod nosem.

Vicky współczuła mu. Uczucie, że zawiodło się kolegę

po fachu, lecząc jego pacjenta, z całą pewnością nie należy do przyjemnych.

- Czy coś muszę wypełnić, ponieważ to mnie do niej wezwano? - dopytywał się Grant. - Czy szpital wystawi akt zgonu? Pierwszy raz jestem w takiej sytuacji.

- Mogę pana zaprowadzić do naszego archiwum i pokazać, jak to u nas wygląda - zaproponował Joe ku jej rozpaczy.

Przepadła okazja porozmawiania w cztery oczy i nie wiadomo, kiedy nadarzy się kolejna szansa na to, by być z nim sam na sam. Wykorzystanie „telefonicznego intruza” jako pretekstu nie wchodzi w rachubę.

Joe wypuścił gościa na korytarz, sam zaś zdążył jeszcze się odwrócić i zniżając głos, powiedział:

- U mnie, o siódmej. Ale przywieź ze sobą wszystko, co będzie ci potrzebne.

Godziny spędzone na wspólnym przygotowywaniu kolacji, a potem przy stole, w ciepłej, wiejskiej kuchni to było to, o czym Vicky marzyła od dawna.

Gotowanie szło im tak sprawnie, jakby od dawna razem to robili. Rozmawiali o muzyce, sztuce i książkach, by w końcu jednak dojść do nieśmiertelnego tematu, jakim był ośrodek Denison Memoriał.

Zachowujemy się jak stare, dobre małżeństwo, pomyślała, zbierając nakrycia ze stołu. Joe podał jej sztućce. Mogłaby przysiąc, że w tej samej chwili usłyszała w powietrzu trzask elektrycznej iskry.

Noże i widelce z hałasem upadły na talerz. Odwróciła się w stronę zlewu, by ukryć rumieniec.

- Przepraszam. Na starość robię się niezdarna - zauważyła smętnym głosem i wrzuciła sztućce do wody.

- Po prostu jesteś zmęczona. Zostaw zmywanie i jedź do domu. Ty zrobiłaś kolację, więc ja powinienem pozmywać.

- Bardzo mi pomagałeś. - Zabrała się do zdrapywania myjką resztek sosu marinara z talerza. - Nie lubię zostawiać po sobie nieporządku.

W końcu jednak uznała, że jeśli cieszy ją tak przyjemna czynność jak zmywanie naczyń z Joem, to jest to nieomylny znak, że powinna już wrócić do siebie.

Było jej miło, że odprowadził ją do samochodu i czekał, aż odjedzie. Bardzo jej zależało na tym, by Joe...

Na czym jej zależało?

Aby ją dostrzegł? By przestał myśleć wyłącznie o sobie? -Pojął, że ona jest kobietą, na którą czeka?

- Jasne! - prychnęła. - Od pół roku facet ledwie mówi ci dzień dobry, a ty się spodziewasz, że z powodu wypadku z bykiem na poboczu szosy i jednej domowej kolacji nagle cię zauważy! Daj spokój!

Gdy ze szpitalnym uniformem wymagającym prania i torbą na zakupy weszła do domu, od razu, jeszcze po ciemku, zauważyła pulsowanie czerwonej diody na aparacie telefonicznym.

Nawet się ucieszyła, ponieważ zdarzało się to bardzo rzadko. Większość koleżanek wolała kontaktować się z nią w szpitalu, a poza tym numer jej telefonu nie figurował w miejscowej książce telefonicznej. Wyswietlacz pokazał, że czekają na nią dwie wiadomości ale ju pierwsza przyprawiła ją o dreszcz strachu, po-

nieważ nikt się nie odezwał. Nacisnęła wyłączenie automatycznej sekretarki, ale ta już przeszła do odtwarzania następnej wiadomości. Składała się tylko z jednego słowa:

- Victoria...

Ten sam głos. Ta sama melodia. Lecz tym razem powiało grozą. Tym razem to nie był szpital, gdzie każdy mógł zadzwonić. Ten ktoś zna jej domowy numer.

Poczuła się tak, jakby intruz wręcz fizycznie wtargnął do jej domu, jakby siedział w tym pokoju!

Przerażona wpatrywała się w złowieszcze czerwone światło, gdy zadzwonił telefon. Włączyła się automatyczna sekretarka. Vicky była już przekonana, że to jej prześladowca, gdy rozległ się znajomy głos.

- Tu Joe. Joe Faraday. Chciałem się upewnić, że bezpiecznie dojechałaś do domu. Zadzwoń, kiedy...

- Jak to dobrze, że to ty! - zawołała i drżącą ręką porwała słuchawkę.

- Co się stało? - Zatroskanie w jego głosie dodało jej otuchy.

- Na sekretarce były dwie wiadomości - wyjaśniła mu zdyszana.

- To chyba nieźle. Nick? Twój brat? Czy szpital?

- Joe, to był on.

- On? Ten sam głos co w szpitalu? Gdzie znalazł twój numer?

- Skąd mam wiedzieć? - W jej głosie zabrzmiała nuta hysterii. - Nie mam pojęcia! Jedna wiadomość była głucha, a ta druga...

- Tylko twoje imię, czy tym razem coś więcej? - zapytał opanowanym głosem.

- Tylko moje imię. Joe, dlaczego on to robi? Wystarczająco mnie przestraszył, dzwoniąc do pracy...

Odgarnęła na plecy włosy. Tego wieczoru ich nie upinała w nadziei, że Joe to zauważy. Absolutna strata czasu.

Teraz, zważywszy na to, co działo się w jej domu podczas jej nieobecności, kuszenie Joego stało się zupełnie nieistotne.

- A jeśli on...? Jeśli wie, gdzie mieszkam? Czy znając czyjś numer telefonu, można ustalić jego adres?

- Przyznam, że nie wiem. Sądzę, że bez problemu można by ten numer zmienić. W ośrodku byłoby to znacznie trudniejsze, bo większość rozmów idzie przez centralę automatyczną. Gdybyśmy mieli telefonistki, dałoby się nad tym jakoś zapanować. Za to twój adres... W takiej dziurze jak Edenthwaite mnóstwo osób mogło mu wskazać drogę.

- To jedna z wad bycia stąd. Niejeden raz musiałam wysłuchiwać od pacjentów, co działo się, kiedy byłam mała albo nawet kiedy moi rodzice byli dziećmi.

- To jedna z nieuniknionych konsekwencji bycia osobą publiczną. Wszyscy wiedzą wszystko o miejscowym lekarzu i jego rodzinie.

- Najbardziej lubią o nas plotkować, kiedy mamy kłopoty.

- Podejrzewam, że Jack dostarczył im niejednego tematu. Chyba że zaczął rozrabiać, dopiero jak wyjechał na studia.

Rozmawiali tak przez dłuższą chwilę.

- Och, przepraszam, że tyle mówię. Przecież ty jutro musisz wcześniej wstać - zreflektowała się.

- Jeszcze nie jestem taki stary, żeby się rozsypać, jeśli

będę spał godzinę krócej. Cieszę się, że jesteś już w nieco lepszym nastroju. Do jutra.

Zabrzmiało to niemal jak obietnica. Vicky z lżejszym sercem odkładała słuchawkę.

Nie uważała, że potrzebuje mężczyzny, aby jej życie miało sens. Nauczyła się być silna i samowystarczalna przez wiele lat, w trakcie których, usychając z miłości do Nicka, skoncentrowała się na nauce i szukaniu własnej drogi.

Mimo że była osobą bardzo samodzielną, potrafiła docenić troskę Joego o jej bezpieczeństwo. Zgodnie z jego radą sprawdziła zamki we wszystkich drzwiach i oknach.

- Jutro zmienię numer telefonu - postanowiła. - I zapoznam się z tym, co mówi nasze prawo na temat tego rodzaju prześladowań.

Trudno było jej uwierzyć w to, co się dzieje. Trochę też wątpiła, by zmiana numeru telefonu mogła zniechęcić takiego maniaka.

Z drugiej jednak strony rozsądek podpowiadał jej, że jest to mało prawdopodobne. Intruz najwyraźniej dopiero się rozkręcał. Mimo że mówił tylko jedno słowo, w tonie jego głosu było coś bardzo nieprzyjemnego.

Przypomniała sobie program telewizyjny, w którym specjaliści wymieniali dwa typy takich zbrojeńców, pierwszemu wystarcza obserwowanie ofiary. Myśl o tym drugim typie, który od obserwacji przechodzi do etapu nawiązywania kontaktu, a następnie do całkowitej obsesji, kazała jej wsłuchiwać się we wszystkie odgłosy na dworze.

Dobrze, że już jadła, bo teraz, mając ściśnięte gardło, na pewno nic nie mogłaby przełknąć

Czuła się zbyt zagrożona, by pozwolić sobie na relaksu-

jąca kąpiel, więc nie pozostawało jej nic innego, jak pójść do łóżka i nakryć się kołdrą aż po głowę. Ale i to nie dało jej pełnego poczucia bezpieczeństwa, mimo świadomości, że zamknęła wszystkie możliwe zamki.

Zasnęła spokojnie, dopiero gdy przypomniała sobie, że Joe prosił ją, by nie wahała się do niego zadzwonić, a on przyjedzie do niej o każdej porze.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Były nowe telefony? - zapytał Joe następnego dnia, późnym popołudniem.

Ten znajomy niski głos przyprawił ją jak zwykle o mocniejsze bicie serca. Musiała skupić się nad sensem pytania, którym tak ją zaskoczył, tym bardziej że patrzył jej prosto w oczy.

Tego dnia wydały się jej jeszcze ciemniejsze i jeszcze bardziej przepełnione troską. W ten sposób patrzył tylko na pacjentów.

Nie wiedział, że właśnie włączyła czajnik. Ona zaś uznała taki zbieg okoliczności za wyśmienitą okazję, by spokojnie porozmawiać.

- Dzwonił ktoś dwa razy, ale przed dyżurem umówiłam się z koleżankami, aby wszystkich mężczyzn pytały o nazwisko i proponowały, że przekażą mi wiadomość.

- Dobry pomysł. Wygląda na to, że udało ci się pokrzyżować mu plany.

- Miejmy nadzieję...

Oparta się o zlew. Wolała nie siadać zbyt blisko niego z powodu upajającego zapachu okolicznych lasów i pól, który wraz z jego przybyciem wypełnił cały pokój.

- Skontaktowałam się też z urzędem telekomunikacji i poprosiłam o zmianę numeru.

Starła się nie zwracać uwagi na jego rozrzucone wiatrem włosy. Najwyraźniej wybrał do niej drogę dookoła budynku, zamiast pokonywać kilometrowe korytarze i klatki schodowe wewnątrz ośrodka.

- Nie robili żadnych trudności - ciągnęła. - W takich sytuacjach mają obowiązek zmienić numer jak najszybciej. Do tej pory nie będę odbierać żadnych telefonów w domu. Wyłączyłam też automatyczną sekretarkę.

- To niedobrze, że będziesz odcięta od świata. Myślę, że należałoby załatwić ci służbową komórkę.

- Nie potrzebuję komórki - broniła się. - Nie muszę być pod telefonem jak lekarze czy położne.

Nie wzruszaj się tak jego troskliwością, pomyślała sobie. Chodzi mu przede wszystkim o pacjentów.

- Nie szkodzi. Nie chcę, żebyś znalazła się w podbramkowej sytuacji, zdana na łaskę i niełaskę jakiegoś zbrojnego. Wychodząc z pracy, weź z recepcji komórkę.

Przejęta jego bliskością, zapomniała zaprotestować, a gdy ochłonęła, wyszedł już z pokoju. Swoją drogą to ładnie z jego strony, że uznał za stosowne załatwić dla niej służbowy telefon.

- Przewrotna babo, gdyby Jack, twój kochany braciszek, zaproponował ci coś podobnego, dałabyś mu taki feministyczny odpór, że chyba by się nie pozbierał - mruknęła pod nosem, wychodząc na oddział.

Dobrze, że na tej zmianie personel jest w komplecie, bo inaczej nie byłoby komu zająć się wszystkimi pacjentami, z których część nadal leży na innych oddziałach.

Owen, pięćdziesięcioośmioletni pacjent z zespołem Downa i złamaną nogą, nawet nie czekał na zmianę gipsu.

Robił wszystko, co w jego mocy, by wypłatać unieruchomioną kończynę z linek znenawidzonego wyciągu.

Okazało się, że chodzi mu o telewizor stojący w drugim końcu oddziału, lecz jego łóżka z całym specjalistycznym sprzętem nie można było w żaden sposób wywieźć w pobliże ukochanego odbiornika.

W końcu Vicky wpadła na genialny pomysł: poprosiła o pomoc dyrektora szpitala. Dzięki jego interwencji udało się zainstalować przy łóżku Owena przenośny telewizor z pilotem, który prawdopodobnie trzeba będzie wymienić, gdy niesforny pacjent opuści szpital.

- Nie wiemy, jak mamy siostrze dziękować - powiedziała jego opiekunka, zaskoczona zmianą zachowania podopiecznego. - Teraz widzę, że do szczęścia wystarczy mu telewizor, chociaż nie mam pojęcia, jak znosi to jego sąsiad.

Vicky zapewniła ją, że drugi pacjent nie zgłasza żadnych pretensji, chociaż nie powiedziała jej, że współmieszkaniec Owena jest kompletnie gruchy i zdecydowanie woli czytać książki.

- Co u ciebie, Vicky? - zapytał męski głos.

Do pokoju wszedł jej brat. W samą porę na herbatę. Wiedział, kiedy przyjść, pomyślała z przekąsem.

- Dzięki, w porządku.

Sięgając po kubek, odwróciła się do niego plecami, aby nie widział jej niezadowolenia. Od zerwania zaręczyn z Nickiem wpadał do niej od czasu do czasu na kontrolę. Czy on uważa, że powinna tonąć we łzach?

Owszem, płakała na ramieniu Joego, ale nikt nie musi o tym wiedzieć. I to nie dlatego rozpaczała, że Nick ożenił

się z inną. Ile razy ma tłumaczyć bratu, że tę decyzję podjęli wspólnie?

- Słyszałaś o tym? - Jack rozwinął kolorowy afisz. - Jeden z moich pacjentów przyniósł kilka sztuk do przychodni z prośbą, żebyśmy rozwiesili je w całym ośrodku.

- Wielkanocny Pokaz Tańców Tradycyjnych - przeczytała, uśmiechając się na widok pływających zajaczków i kurczaczków w kowbojskich strojach.

- To jest impreza towarzyska oraz dobroczynna. Jej celem jest zebranie funduszy na pomoc dla tych okolicznych farmerów, którzy ponieśli największe straty z powodu zeszłorocznej epidemii pryszczycy. Otrzymali wprawdzie rządową rekompensatę za zniszczone sztuki, ale mniejsze gospodarstwa nadal są w bardzo trudnej sytuacji.

- Co jest w programie? - zapytała, choć nie bardzo ją to interesowało.

I tak weźmie udział w tym wydarzeniu, ale przede wszystkim po to, by wesprzeć potrzebujących.

- Najpierw będzie pokaz naszych tradycyjnych tańców ludowych, a potem członkowie zespołu będą nas ich uczyć.

Zerknęła na kalendarz.

- W najbliższy weekend... Trochę późno. Mało kto się o tym dowie.

- To na razie tylko próba. Jeśli się powiedzie, planują zorganizować kilka takich imprez. Ich doświadczenia mogą się nam przydać, kiedy będziemy organizować bal dobroczynny na rzecz naszego szpitala.

- Z kim pójdziesz? - zapytała. - Podejrzewam, że należy tam przyprowadzić swojego partnera.

- Dobrze wiesz, że nie lubię niczego ustalać na zapas.

Zwłaszcza umawiać się z kobietami. Nigdy nie wiadomo, co w międzyczasie w takim związku się wydarzy.

- W związku? - roześmiała się. - Nigdy nie chodziłeś z jedną dziewczyną dłużej niż przez kilka dni! Nie nazwałabym tego związkiem.

- Uważasz, że jesteś lepsza? - Nie spodobał się jej ten atak. - Usychasz z miłości przez kilkanaście lat, a jak facet w końcu chce się z tobą ożenić, w ostatniej chwili dajesz dyla.

Niespodziewanie ostry ton tej wypowiedzi kazał jej się zastanowić, czy życie jej beztroskiego braciszka było rzeczywiście usłane różami, jak to sobie wyobrażała.

Może przeżył coś, co sprawiło, że teraz boi się najprostszych nawet związków? Może, zajęta swoimi sprawami, nie zwracała uwagi na to, co się z nim dzieje?

- Skoro nie mamy z kim pójść, to może chodźmy razem? - zaproponowała, stwierdzając, że poznawaniem przeszłości brata może zająć się później.

- Mam iść z własną siostrą?! - Udał oburzenie.

- Dokładnie to samo mówiłeś - zauważyła, śmiejąc się - kiedy mama kazała ci zabierać mnie ze sobą do sklepu albo do biblioteki.

- A ty mi dokuczałaś, drwiąc, że boję się skompromitować przed kolegami.

- Nadal obawiasz się tego, czy jesteś skłonny zaryzykować?

- Umówmy się, że pójdziemy razem, jeśli nikogo sobie nie znajdziemy. Pod warunkiem jednak, że nie stanie się to rutyną oraz że odpowiednio się ubierzesz.

Zaczęła się zastanawiać, czy taka wyprawa ma sens, gdy

przypomniała sobie o istnieniu Joego. Czy nabrałaby sensu, gdyby Joe był jej partnerem? Czy warto go zapraszać?

- Zgoda. Jeśli nie znajdę kandydata, idę z tobą, ale ty też masz mieć stosowny strój.

Nie mogła przestać myśleć o kandydaturze Joego. Nie zależało jej na tańcach. Po prostu przyjemnie byłoby od czasu do czasu znaleźć się na kilka minut w jego ramionach oraz spędzić cały wieczór w jego towarzystwie. Oczywiście, jeśli uzna, że taka impreza go interesuje.

Tego wieczoru długo się zastanawiała nad sposobem zaproszenia Joego na tańce.

Próbowała przypomnieć sobie wszystko, co o nim wie. Wszyscy w ośrodku domyślali się, że kiedyś był żonaty, ale nic ponadto. Unikał spotkań towarzyskich, ale być może miał naturę samotnika.

Czy to z powodu nieobecności żony? Opuściła go? Rozwiodła się z nim? Umarła? Może on nadal ją kocha i nie widzi potrzeby bliższych kontaktów z innymi kobietami?

Mimo że spędziła z nim sporo czasu po wypadku, nie miała pojęcia, co Joe o niej myśli.

Gdy pojawiał się na horyzoncie, jej serce nieodmiennie zaczynało przyspieszać, ale odniosła wrażenie, że poza tym jednym razem, kiedy pocieszał ją po ślubie Nicka, wręcz unikał fizycznego kontaktu z nią.

Co do niego czuje? Czy ma prawo więcej o nim wiedzieć?

Dopiero co miała w planach ślub z Nickiem. Gdy poprosił ją o rękę, podjęła decyzję o powrocie do Edenthwaite i podjęciu pracy jako pielęgniarka.

Coś się zmieniło, gdy już w Edenthwaite poznała doktora

Josephą Faradaya. Chociaż nadal kochała Nicka i przygotowywała się do zbliżającego się ślubu, zauważyła, że przy każdym spotkaniu z Josephem Faradayem bacznie go obserwuje.

W końcu uznała, że wymarzony ślub trzeba odłożyć, ponieważ potrzebuje czasu do namysłu. Bała się jednak powiedzieć o tym Nickowi, mężczyźnie, który na tak długo przesłonił jej świat.

Skąd te wątpliwości? Przez czternaście lat nie myślała o nikim innym!

Dekroć jednak dobiegał ją głos Joego, niski, melodyjny i uwodzicielski niczym baryton Seana Connery'ego, jej reakcje przybierały na sile. Zapragnęła wiedzieć o nim więcej, poznać nie tylko jego wiek i adres, ale także poglądy i aspiracje. Doszła w końcu do wniosku, że musi porozmawiać z Nickiem.

Owszem, wiadomość, że pokochał Frankie, zaszokowała ją, lecz przede wszystkim sprawiła jej ogromną ulgę.

Teraz musi się zastanowić, co naprawdę czuje do Joego oraz dowiedzieć się, czy jest on w stanie odwzajemnić jej uczucia.

To, że pocieszał ją na weselu Nicka, można równie dobrze przypisać profesjonalizmowi i empatii, naczelnym cechom każdego lekarza z powołania. Podobnie można potraktować jego zaniepokojenie głuchymi telefonami, które na szczęście ustały, od kiedy zmieniła numer i umówiła się z koleżankami na oddziale, że jako pierwsze będą odbierały wszystkie telefony do niej.

Im bardziej się nad tym zastawiała, tym silniejsze stawało się jej przeświadczenie, że tak niewinna impreza jak dobro-

czynna potańcówka na rzecz farmerów będzie świetną okazją do zorientowania się w sytuacji.

Zapewne nie będzie zbyt szczęśliwy z powodu otaczającego go tłumu, ale z jej punktu widzenia będzie to miało pewną dobrą stronę: w tym zamieszaniu nie powinien się połapać, że za jej zaproszeniem kryje się znacznie mniej altruistyczny motyw.

- Oby dał się namówić - mruknęła, układając się do snu. - Bo jeśli mi się to nie uda, będę musiała płaszać w stroju dziewczyny kowboja z własnym bratem!

Nie brała pod uwagę możliwości, że ten wieczór może położyć kres wszelkim jej marzeniom. Są sprawy, do których sama przed sobą nie potrafiła się przyznać. Czy jest całkiem pewna, że jej uczucia wobec Joego nie mają żadnego związku z rozstaniem z Nickiem?

- Doktorze! - Zauważyła go na drugim końcu obszernej poczekalni, gdy szedł w stronę przychodni. - Joe!

- Słucham. Czym mogę służyć?

- Możesz uratować mnie od czegoś bardziej okropnego niż śmierć albo dwa razy bardziej krępującego niż obowiązkowe oglądanie zdjęć dzieci przyjaciół - oznajmiła teatralnym tonem.

Niebywałe, uśmiechnął się! Czy on zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo uśmiech go odmładza?

- Co mam zrobić? - Dotknął jej łokcia, by przepuściła mężczyznę, który szedł w tę samą stronę.

Uśmiechnęła się przepaszająco. Gdy ten z niejaką niechęcią popatrzył na towarzyszącego jej lekarza, przebiegło jej przez myśl, że gdzieś już widziała tego człowieka. Sku-

piła się jednak na realizacji swojego podstępного planu zwiabienia Joego na potańcówkę.

- Słyszałeś już o wieczorku dobroczynnym?

- Masz na myśli ten plakat z zajaczkami? - zapytał, lekko się krzywiąc.

- Wybierasz się?

- Zamierzałem wykręcić się jakimś datkiem. Nie bardzo lubię takie imprezy. Nie przepadam za tańcami.

- Nawet szkockimi? - zażartowała.

- Byłem jeszcze pacholęciem, kiedy mama zmusiła mnie do tego ostatni raz. To było bardzo dawno temu.

Ruszyli w kierunku gabinetów lekarskich.

- Wobec tego jesteś ode mnie lepszy. Chodziłam tylko do dyskoteki. Zatańczyłam też jednego walca podczas letniego balu pracowników ośrodka.

- Rozumiem, że również chcesz się od tego jakoś wy-migać.

- Nie mam jak. Jack postawił warunek, że mam sobie poszukać partnera, albo idę z nim.

- Co w tym strasznego? - zdziwił się lekko. - Wydawało mi się, że jesteście w świetnej komitywie.

- To, że mam iść z Jackiem, nie jest jeszcze takie straszne. Najgorsze, że będę wtedy musiała ubrać się jak dziewczyna kowboja. Jak z wodewilu.

Joe roześmiał się radośnie.

- Czy jesteś skłonny poświęcić się dla mnie? - dociekała. - Idąc z tobą, będę mogła ubrać się normalnie, na przykład w dżinsy. Kocham mojego brata nad życie, ale mamy zupełnie inne charaktery. W przeciwieństwie do niego nienawidzę być w centrum uwagi.

- Trudno mu zarzucić nieśmiałość - przyznał Joe ze zrozumieniem.

Czekała z zapartym tchem. On tymczasem, ciężko wzdychając, przysiadł na brzegu biurka. Czuła, że udało jej się przełamać jego niechęć.

- Ale nie na długo? - upewnił się. - Tyle tylko, żeby Jack dał ci święty spokój?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Przysięgam, że nie zostaniemy tam dłużej niż na weselu Nicka.

- Wobec tego zastanówmy się, o której mam po ciebie przyjechać. Muszę wziąć się do roboty. Jeśli nie zacznę zaraz, to w piątek zamiast iść na tańce, będę przyjmował zaglętych pacjentów.

Gdy jak na skrzydłach wracała na swój oddział, po drodze zatrzymała ją recepcjonistka Mara.

- Dobrze, że cię widzę. Telefon do ciebie. - Podała jej słuchawkę.

- Do mnie? - W tej części ośrodka? Może stało się coś na oddziale. - Siostra Lawrence, słucham.

Dopiero po chwili usłyszała nieprzyjemne trzaski, a po nich mrozący krew w żyłach szept:

- Victoria...

Poczuła, że robi się jej niedobrze. Ogromnym wysiłkiem woli, bardzo spokojnie odłożyła słuchawkę.

- Coś się stało?

- Nic ważnego.

Nie mogła mieć pretensji do Mary, że nie przepytала tego człowieka, zanim podała jej słuchawkę, ponieważ z dziewczynami z przychodni nie umawiała się tak jak

z koleżankami ze swojego oddziału. Nie ma teraz czasu na to, by wyjaśniać jej wszystko od początku.

Skąd jej prześladowca wiedział, że akurat wtedy będzie w przychodni? Ona sama tego nie przewidziała. Owszem, szukała Joego, ale to przecież on zaprowadził ją do tej części budynku.

Czy ktoś ich widział? Obserwował, jak wchodzili do gabinetu doktora Faradaya? Kto ją śledzi? Dlaczego? Co chce przez to uzyskać?

Tyle pytań i tak mało odpowiedzi. Tymczasem wzywają ją niezliczone obowiązki.

Na oddziale wrzała praca, tym bardziej że kilku pacjentów musiało zostać dłużej niż przewidywano.

Na przykład pani O'Herlihy, która wydała spory majątek na operacje kosmetyczne. A wszystko zaczęło się od nieładnego guzka na górnej wardze.

- Myślałam, że jest to po prostu blade znamię - tłumaczyła kiedyś Vicky. - No, może bardziej jak kurzajka.

Niestety, w prywatnej klinice nie zdiagnozowano nowotworu komórek warstwy podstawowej. Częściowe tylko usunięcie tej zmiany, mające na celu wyłącznie efekt kosmetyczny, spowodowało błyskawiczne rozrośnięcie się guzka.

Kolejny zabieg wykonano bardzo dokładnie, usuwając sporo sąsiedniej tkanki, lecz tym razem pozostanie po nim brzydka blizna. Z czasem jej ognista czerwień zblednie, ale pacjentkę na pewno przerażą konsekwencje uszkodzonych nerwów, zwłaszcza gdy dowie się, że tego mankamentu zapewne nie da się usunąć.

Na razie jedyne, co Vicky mogła zrobić dla tej próżnej kobiety, to wysłuchiwać jej utyskiwań i starać się ją prze-

konać, że najważniejsze jest to, że nowotwór został usunięty, zanim zdążył dokonać większego spustoszenia. Przypomniał się jej przypadek mężczyzny, któremu z tego samego powodu trzeba było usunąć cały nos.

Jej profesjonalizm sprawiał, że pacjenci nie potrafili rozróżnić między jej współczuciem i empatią. W rzeczywistości znacznie trudniej było jej odnieść się do próżnej kobiety ubolewającej nad utratą urody niż do ciężko pracującego farmera, który bał się, że jego nowy nos może przestraszyć wnuczęta.

Pani O'Herlihy niestety odczuwała palącą potrzebę wygadania się. Skądinąd Vicky wiedziała, że rozmowa z pacjentem, mimo że nie należy do obowiązków pielęgniarek, przyspiesza powrót do zdrowia.

Podobnie jak posiadanie automatycznego pilota od telewizora, czego przykładem mógł być Owen.

Pomimo ostrzeżeń opiekunów, nie było z nim już żadnych kłopotów. Przynajmniej od chwili, gdy pogodził się z myślą, że ten magiczny przedmiot trzeba przed ciszą nocną oddać dyżurującej pielęgniarce.

- Czy można siostrę prosić? - Któraś z dziewczyn półgłosem przerwała na moment monolog pacjentki.

- No proszę, tak dzisiaj wygląda opieka w szpitalach - zrzędziła pani O'Herlihy, gdy Vicky udzieliła już odpowiedzi stażystce. - Wszyscy są zajęci wykonywaniem odgórnych zadań i zaleceń, że nikt nie ma czasu porozmawiać z pacjentem - oznajmiła i z wyrazem niechęci na twarzy odwróciła się do ściany.

Vicky wolała nie myśleć, co będzie, gdy po zdjęciu opatrunku nadejdzie moment prawdy. Wszystkie pielęgniarki,

mimo że obchodzą się z tą damą jak z jajkiem, będą miały się z pyszna. Vicky zazwyczaj nie pozwalała pacjentom zająć sobie za skórę, ale, aż przykro powiedzieć, wszyscy odetchną z ulgą, gdy ta paniusia nareszcie pójdzie do domu.

Skąd taka nieprzychylna myśl? Czy przyszła jej do głowy, aby zagłuszyć wspomnienie tego przerażającego telefonu? Ciągle miała w uszach ten głos.

Trzeba wziąć się do roboty. Dowiedzieć się, jaki problem ma Leigh, oraz przed końcem dyżuru wypełnić stertę dokumentów.

Perspektywa wspólnego wieczoru z Joem podniosła ją nieco na duchu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Klęła pod nosem, ostrożnie manewrując obok samochodu, który niemal całkowicie zablokował jej wyjazd z parkingu. Musiał to być ktoś przyjezdny, bo jej auto stało w zatoce oznaczonej jako miejsce parkingowe wyłącznie dla personelu ośrodka. Gdyby rozpoznała, do kogo należy ten samochód, zadzwoniłaby do szpitala z prośbą, aby jego właściciel przestawił go gdzie indziej.

Wściekła, wlokła się zatłoczoną szosą. Jeśli się nie pośpieszy, Joe przyjedzie po nią, a ona nie będzie gotowa. Musi przede wszystkim umyć włosy. Co gorsza, nie ma pojęcia, w co się ubierze.

Zerknęła we wsteczne lustro. Wydawało się jej, że tuż za nią, niebezpiecznie blisko, jedzie samochód bardzo podobny do tego, który zastawił jej drogę na parkingu.

Nic na to nie poradzi. Może jedynie źle myśleć o takim kierowcy, a i tak nie ma czasu sprawdzać, kto to jest, bo ma ważniejsze sprawy na głowie. Przede wszystkim wieczorne spotkanie.

Gdy dojechała na swój podjazd, samochód, który ciągle jechał za nią, przyspieszył tak nagle, że nie zdążyła dostrzec i zapamiętać jego numeru rejestracyjnego. Tacy bezmyślni idioci stanowią zagrożenie dla reszty normalnych użytkowników szos.

Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, stała bezradnie w sypialni zasłanej wszystkim, co miała w szafie. Skąd ma wiedzieć, co powinna włożyć, jeśli nie wie, jaki efekt zamierza wywołać?

Na jednej stercie leżały stroje nadto szykowne na taki wieczór, na drugiej rzeczy zbyt powiewne, dobre na lato, a na trzeciej takie, które zdecydowanie nie pasują do ludowych tańców.

W końcu zdecydowała się na ciemne, obcisłe džinsy, koszulową bluzkę o ton jaśniejszą od jej oczu oraz kozaczki na bardzo wysokim obcasie. Może tego pożałować, gdy przyjdzie do bardziej ognistych tańców, ale za to ładnie wydłużały jej sylwetkę. Poza tym, gdyby osiągnęli etap pocałunków, nie chciała przyprowadzić Joego, który był od niej znacznie wyższy, o ból karku.

Z rumieńcami wywołanymi przez tę grzeszną myśl otworzyła mu drzwi.

I zaprosiła go do środka.

Na co dzień widywała go wyłącznie w eleganckich, stonowanych garniturach, więc mężczyzna, który teraz przekroczył jej próg, wydał się jej kimś zupełnie innym. Powinno mu się zabronić noszenia džinsów! Nie mogła oderwać oczu od długich, pięknie umięśnionych nóg, a kiedy stanął do niej plecami, od kształtnych pośladków.

Bój się Boga, pomyślała sobie, odwracając wzrok w samą porę. Dziewczyno, chcesz już na samym początku popsuć całą wieczór?

Joe jednak był pochłonięty rozglądaniem się po jej gospodarstwie.

- Jak domek lalki! - orzekł z uśmiechem.

- A czego się spodziewałaś po zarobkach pielęgniarki?
- Jego uwaga zabolęła ją. - Ale za to jest mój własny...
No, mój i banku jeszcze przez jakiś czas.

- Nie złość się. Nie to miałem na myśli. Uważam, że jest idealny. Taki przytulny. Nie wymaga tyle sprzątanania co mój i na pewno ogrzewanie kosztuje mniej.

- Ale więcej, niż myślisz. Kiedy będę miała więcej pieniędzy, wymienię okna. Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam, ale od kiedy zerwałam z Nickiem, zrobiłam się bardzo czuła na tym punkcie.

- Możesz mi powiedzieć dlaczego?

Nie poruszała tego tematu z nikim, ale Joe to co innego.

- Niektóre z moich koleżanek wytykają mi, że powinnam była trzymać się Nicka, bo miałam szansę przeprowadzić się do większego i bardziej luksusowego domu. A tak zostałam w domku dla lalek.

- Żal ci tego?

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że poczuła, że z jakichś niejasnych powodów jej odpowiedź ma dla niego bardzo istotne znaczenie.

- Na pewno nie przenosin do wielkiego domu - odparła stanowczym tonem.

- Czy jest coś, czego żałujesz? - drażył.

- Chyba tego, że był to koniec pięknego snu - wyznała, dziwiąc się nieco swej szczerości. - Ale gdy zdałam sobie sprawę z tego, że to, co czuję do Nicka, to za mało, żeby wystarczyło za fundament małżeństwa, stało się dla mnie jasne, że nie mogę go poślubić. Dzięki temu nadal jesteśmy przyjaciółmi. Inaczej mogłoby się to skończyć rozwodową szarpaniną...

Pokiwał głową.

- Więc teraz postanowiłaś pokazać całemu światu, że żyjesz pełną parą.

- Powinnam przynajmniej pokazywać się ludziom. I to nie w towarzystwie brata.

- Bo mogliby pomyśleć, że nikt cię nie zaprasza. Zanim się rozkręcisz, musisz prosić o tę przysługę dawnych chłopaków.

- Niekoniecznie, ponieważ mogę liczyć na towarzystwo zabójczo przystojnego doktora Faradaya - oświadczyła.

Nie przyzna mu się przecież, że w jej życiu nie było żadnych chłopaków...

Już w holu powitała ich głośna muzyka.

- Jesteś pewna, że chcesz tam wejść? - zapytał Joe z wahaniem.

- Jasne! - zawołała, usiłując przekrzyczeć tumult. - Już czuję, że to mi się podoba!

Pierwszy raz szła na taką imprezę, ale wielokrotnie oglądała w telewizji relacje z takich spotkań. Dzięki temu mogła teraz się zorientować, że pokaz już trwa. Zauważyła, że nogi same rwą się jej do tańca. Uważnie wsłuchiwała się w słowa wodzireja.

- Dołączymy teraz, czy poczekamy na powtórkę?

- Chodźmy na drinka - zaproponował smętnie Joe.

- Tchórz! Nie wyobrażaj sobie, że pozwolę ci się wykręcić.

Przy barze stało kilka znajomych osób z ośrodka, lecz gdy inna grupka zaprosiła ich do swojego stołu, Vicky przeżyła mały szok.

Joe oświadczył bowiem, że za moment idą tańczyć. Pomyślała wtedy, że nie ma ochoty z nikim się nim dzielić.

- Przepraszam, że nie przyjąłem ich zaproszenia. Najpierw powinienem był spytać ciebie o zdanie - tłumaczył się, prowadząc ją do drugiej sali. - Na pewno nie wolisz posiedzieć przy stole?

Po drodze zauważyła zaciekawione spojrzenia swoich koleżanek. Niech plotkują do woli. Nic nie jest w stanie popsuć jej tego wieczoru.

- Żeby znowu bez końca rozmawiać o pracy, zamiast cieszyć się twoim towarzystwem? Nie. Wolę być tylko z tobą.

Uśmiechnął się znacząco.

- Chcesz trzymać ich w niepewności - rzekł domyślnie.

- I pokazać, że świetnie się bawię. - Słowa te zabrzmiały jak wyzwanie.

Podjął je natychmiast.

- Odstaw kieliszek. Parkiet nas wzywa.

Przez kilka następnych minut zaśmiewała się, widząc swoje i jego beznadziejne wysiłki mające na celu opanowanie kroków, które, zdawałoby się, innym nie sprawiały najmniejszego kłopotu.

- Czy tylko my jesteśmy tu początkujący? - zapytał zrozpaczony, kiedy kolejny raz zrobili obrót w niewłaściwą stronę, wpadając na sąsiadów. - Chodźmy stąd, zanim kogoś poturbujemy.

- Wykluczone! Jeszcze chwila, a wszystko się ułoży!

- Róbcie to, co dziewczyny w jaskrawoniebieskich bluzkach - poradziła jej niespodziewanie sąsiadka, wskazując na bardzo szczupłą kobietę w westernowej bluzce ob-

szytej frędzlami i w czarnym kowbojskim kapeluszu. - Są w kilku miejscach sali, żeby nam pokazywać, jak to się robi.

Vicky przekazała tę cenną informację Joemu i już po chwili sprawiali wrażenie wytrawnych tancerzy, którzy od dawna wiedzą, co robią.

Taniec dobiegł końca.

- Już złapałam, na czym to polega - oznajmiła Vicky.

- Byłoby znacznie łatwiej, gdyby było słyhać, co mówi wodzirej. Była taka chwila, kiedy pomyślałem, że dam za wygraną.

- Ty? Chciałeś się poddać? Niemożliwe. Ty przecież nawet nie wiesz, co to znaczy.

Jego wzrok na ułamek sekundy spochmurniał. Dlaczego?

- Widzę, że świetnie się bawicie - skomentował Jack, przystając obok nich.

- Joe, do końca świata nie zdołam ci się odwdzięczyć! - wykrzyknęła. - Zobacz, przed czym mnie uratowałeś!

Jack miał na sobie zamszową kurtkę z kilkoma rzędami frędzli i ogromny kapelusz.

- Teraz rozumiem, co miałaś na myśli - powiedział Joe, zachowując pokerową twarz. W jego oczach za to migotały ogniki rozbawienia.

- Co ci się nie podoba? Odczep się od mojego westerнового stroju.

- Prosto z Hollywood - droczyła się z nim Vicky. - Prawdziwy kowboj wolałby raczej umrzeć, niż pokazać się w takim przebraniu.

- Dzieci, uspokójcie się! - Joe z trudem zachowywał powagę. Ujął dłoń Vicky. - Wybacz, Jack, ale jesteśmy umówieni.

Nie opuścili żadnego nowego tańca i szło im to coraz lepiej. Vicky wszak było wszystko jedno, co robi, byle być blisko Joego. Peszyła ją jedynie świadomość, że każdy ich krok jest bacznie obserwowany.

Gdy ogłoszono przerwę na poczęstunek, pomyślała, że Joe ma już dosyć tej męczącej imprezy, on tymczasem zaproponował, by zostali. Miała ochotę skakać z radości. Racząc się przekąskami, rozmawiali o ulubionych książkach i muzyce oraz zgodnie ubolewali nad marnym repertuarem miejscowego kina.

W pierwszej części imprezy uczyli się tańców Dzikiego Zachodu, druga miała na celu zaprezentowanie ludowych tańców angielskich oraz szkockich. Tym razem Vicky liczyła, że znajdzie się w objęciach Joego.

Tańczyli teraz w kole lub parami, zmieniając partnerów, zazwyczaj w osiem, dziesięć osób. Wśród nich rozpoznawała twarze znane jej z ośrodka; byli tam także znajomi jej rodziców. Jeden z mężczyzn, powołując się na dawną przyjaźń, wymusił na niej obietnicę, że zatańczy z nim drugi raz.

Uznała, że nie może mu nie odpowiedzieć, ale chyba nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie, ponieważ przez cały czas była zajęta wpatrywaniem się w wysokiego, przystojnego mężczyznę, który z ogromną galanterią partnerował innej kobiecie, a nie jej.

To idiotyczne, ale nie potrafiła oderwać od niego wzroku, a za każdym razem, gdy brał w tańcu jej dłoń, jej serce biło mocniej.

Lecz gdy w końcu objął ją w walcu zamykającym spotkanie, zrozumiała, że już nie ma wyboru.

W jego ramionach poczuła, że nareszcie znalazła idealnego partnera. Przytuliła się do niego mocniej, a on w odpowiedzi przygarnął ją jeszcze bliżej do siebie.

Poruszali się w rytm muzyki, jakby stanowili jedno ciało. Tym razem był to walc doskonały. Nikt nie potrafił tak prowadzić jej w tańcu.

Może obce mu są tańce tradycyjne czy ludowe, ale walca tańczy po mistrzowsku! Przez kilka minut dane jej było współuczestniczyć w tym tanecznym akcie.

Potem w milczeniu szli do samochodu. Po drodze nie zamienili ani słowa. Były po prostu zbędne.

Nie zdziwiła się, gdy nie skręcił do swojego domu. Wydało jej się całkiem naturalne, że ją odwozi. Oraz że trzymając ją za rękę, prowadzi ją pod jej drzwi.

Dopiero gdy znalazła się na ganku, by wyjąć klucze, zorientowała się, że Joe zatrzymał się na ścieżce. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie oceniła źle sytuacji.

- Nie wejdiesz? - zapytała.

Czuła się jak nastolatka, chociaż dzisiejsze nastolatki na pewno mają więcej doświadczeń w tej dziedzinie.

- Podejmę cię drinkiem...

Zwlekał z odpowiedzią tak długo, że pomyślała, że ze wstydu zapadnie się pod ziemię.

Była przekonana, że oboje czują to samo: więź zacieśniającą się z każdym kolejnym tańcem. Czyżby aż tak źle zinterpretowała dziś sygnały?

- Mam wielką ochotę na kawę, ale...

Najwyraźniej zabrakło mu słów. W tej samej chwili postąpił krok naprzód i położył jej dłonie na ramionach.

Zanim się spostrzegła, musnęła jej wargi; zanim zdążyła zareagować, było już po wszystkim.

- Joe... - szepnęła wstrząśnięta, ale on już odchodził do samochodu.

Widziała z progu, jak wsiada, kładzie ręce na kierownicy, włącza silnik i w ostatniej chwili zapina pasy. Patrzyła jak urzeczona za czerwonymi tylnymi światłami samochodu, który wkrótce zniknął za zakrętem.

- Nawet się nie obejrzał... - Opuściła bezwładnie dłoń, którą wcześniej machała mu na pożegnanie.

Stojąc ciągle na progu, nagle pomyślała, że zachowuje się jak kompletna idiotka. Weszła do domu.

Wcale nie miała ochoty na drinka. Chciała tylko jeszcze trochę przedłużyć ten wieczór.

Joe po prostu nie jest zainteresowany.

Nawet ten pocałunek, taki cenny, bo pierwszy, prawdopodobnie nie był niczym innym jak tylko zwykłym konwenansem, uprzejmą formą podziękowania za przyjemnie spędzony wieczór. Skąd ona ma to wiedzieć, skoro nie ma na tym polu żadnych doświadczeń? Przegapiła tyle lat, marząc o czymś, co okazało się mirażem.

Czy teraz też marnuje czas?

Naciągając kołdrę na głowę, postanowiła dokonać rzetelnego podsumowania swojego życia.

W sferze zawodowej właściwie nie może być lepiej. Edenthwaite to idealne miejsce, w którym można spędzić dzieciństwo oraz pracować. Tutejszy niewielki szpital, współpracujący z dużymi szpitalami oraz specjalistami, spełnia wszystkie warunki konieczne do opieki nad mieszkańcami miasteczka i okolic.

Zupełnie inaczej ma się sprawa jej życia osobistego.

Wróciła tutaj i przez kilka miesięcy, z zaręczynowym pierścionkiem na palcu, żyła myślą o ślubie z Nickiem.

Joego poznała na samym początku. Uznała, że jest bardzo przystojny, lecz zbyt ponury.

Dopiero na oddziale, gdy przez całą noc siedział przy łóżku pewnej zrozpaczonej pacjentki, miała okazję poznać jego zalety.

Cathy Twomey. Nigdy nie zapomni tej kobiety ani nie przestanie jej współczuć.

Jej mąż zginął w wypadku przy pracy zaledwie parę tygodni po tym, jak oboje dowiedzieli się, że ma się urodzić ich pierwsze dziecko. Być może pomagała jej wtedy myśl, że nosi w sobie jakąś część małżonka.

Najgorsza jednak tragedia wydarzyła się w ósmym miesiącu ciąży: przedwcześnie urodzone dziecko było już od kilku dni martwe.

Byłoby nieludzkie kazać leżeć tej biednej kobiecie na oddziale położniczym, wśród kwilenia noworodków, więc przygotowano dla niej pokój na oddziale Vicky.

Rodzice Cathy byli tak zdruzgotani stratą wnuka, że nie było mowy, by zajęli się córką. Teściowie natomiast, którzy zjawili się z całym naręczem drogich zabawek i ubranek dla niemowlęcia, dowiedziawszy się, co się stało, odjechali bez słowa, nawet nie zaglądając do Cathy. Prawdopodobnie wydawało im się, że jej dziecko zastąpi im nieżyjącego syna.

To Joseph Faraday siedział przy niej, patrzył na jej łzy i cierpliwie jej słuchał. To on w trakcie tej ponurej nocy przekonywał ją, że życie ma mimo wszystko sens.

W tym samym czasie Vicky, która stale wchodziła i wy-

chodziła z sali, przynosząc herbatę, kanapki i leki, pojęła, że doktor Faraday jest wyjątkowym człowiekiem. To wówczas obudziły się w niej po raz pierwszy nie znane dotąd uczucia.

Potwierdziło się to teraz, kilka miesięcy później, i nie miało nic wspólnego z zerwaniem zaręczyn.

W Nicku zakochała się, gdy jej brat po raz pierwszy zaprosił go do ich rodzinnego domu. Ten stan trwał tak długo, że aż stał się nawykiem.

Z Nickiem porównywała wszystkich mężczyzn. Los chciał, że dopiero gdy zaręczyła się ze swoim idolem, poznała człowieka, który sprawił, że krytycznie spojrzała na lata poświęcone czekaniu na Nicka.

Stopniowo docierało do niej, że to, co czuje do Nicka, jest niczym, szczenięcą fascynacją, w porównaniu z uczuciem, jakim zaczęła darzyć Joego.

Im dłużej o nim myślała, tym silniejsze stawało się jej przekonanie, że oto poznała człowieka, z którym chciałaby spędzić resztę życia. W przypadku Nicka jej wyobraźnia nie sięgała dalej w przyszłość niż dzień ślubu, który wydawał się jej najważniejszym życiowym wydarzeniem. Gdyby mogła poślubić Joego, ten dzień byłby zaledwie początkiem wspólnej podróży przez życie.

Gdyby mogła poślubić Joego...

Głupie mrzonki. Nie ma nawet pojęcia, co ten człowiek o niej myśli, a już ma przed oczami swój ślubny orszak i uroki małżeńskiego życia. Tylko dlatego, że ją pocałował. Trudno to nawet nazwać pocałunkiem!

Prychnęła. Nie. Już raz podała ścieżką iluzji i w ostatniej chwili z niej się wycofała. Czy oboje z Nickiem po-

trafiliby być szczęśliwi, mając świadomość, że zadowolili się drugim garniturem, imitacją prawdziwej miłości?

Prawdziwa miłość. To chciała przeżywać z Joem. Była też coraz bardziej przekonana, że jednak to uczucie może ich połączyć. Musi tylko znaleźć jakiś sposób, aby on również w to uwierzył. Wielkanocna potańcówka i muśnięcie warg to trochę za mało.

Prawie przez całą noc śnił się jej ten delikatny pocałunek, zaś cały dzień został zdominowany przez to, co czekało ją na jej własnym progu.

Wstała później, niż kazał budzik. Ale i tak się nie spóźni, bo był nastawiony na znacznie wcześniejszą porę.

- Nie trzeba było tak długo się wylegiwać - mruknęła, na odchodnym rozglądając się po kuchni i sprawdzając, czy wszystko jest wyłączone.

Nie zdążyła zrobić sobie kanapek. Zje coś w szpitalnej stołówce. Dobrze, że w pracy ma czysty uniform, bo szkoda czasu na prasowanie tego, który wzięła do prania.

Otworzyła drzwi, by już wyjść z domu, gdy nagle usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

- Co się dzieje? - Nie mogła być to butelka z mlekiem, ponieważ mleczarz nie zaglądał tu od dawna.

Popatrzyła pod nogi. Na ziemi ujrzała bukiet czerwonych róż pośród kawałków potłuczonego szklanego wazonu. Ucieszyła się.

Z wazonu już nic nie będzie, ale róże nie ucierpiały. Schyliła się po bukiet. Do jednej z łodyżek przytwierdzona była niewielka koperta. Otworzyła ją, pewna, że wie, kto jest nadawcą.

Kto inny, jak nie Joe?

Czerwone róże... Co to *znaczy!* Czy zrozumiał nareszcie, że czuje do niej więcej niż tylko...

Radosny nastrój prysł, gdy zajrzała do karnetu.

„Victoria”.

Ten jeden wyraz przestraszył ją nie na żarty.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Joe, on wie, gdzie mieszkam. - Nie próbowała ukryć przerażenia.

Nie podniosła bukietu, mimo że był naprawdę piękny. Przeszła nad nim jak nad czymś obrzydliwym i pobiegła szybko do samochodu.

Pod ośrodkiem zaparkowała w pobliżu wejścia. Z najbliższego telefonu zadzwoniła do Joego, który obiecał przyjść do jej pokoju na oddziale.

Zjawił się tam niemal natychmiast.

- Spokojnie, Vicky. Skąd wiesz, że to on? Kontaktowałeś się z kwiaciarnią? - Był bardzo opanowany, mimo że na jego twarzy malowało się z troskanie.

Ten epizod psuje jej szyki. Jak Joe ma uwierzyć, że jest dorosłą kobietą, jeśli wpada w panikę z tak błahego powodu jak anonimowy bukiet róż na jej progu?

Z drugiej strony, trudno jednak było nie przejąć się takim rozwojem sytuacji. Już same telefony, mimo że na odległość, były bardzo nieprzyjemne. Tym razem było to niemal jak spotkanie twarzą w twarz.

- Zadzwoniłam do kwiaciarni zaraz po rozmowie z tobą. Zamówienie zostało złożone telefonicznie, a wiązanekę wraz z wazonem odebrał jakiś chłopiec. Wczoraj, tuż przed zamknięciem kwiaciarni.

- Chłopiec? - Zareagował podobnie jak ona. Wydało mu się to dziwne. Głos, który Vicky słyszała w słuchawce, zdecydowanie nie należał do chłopca.

- Przyniósł pieniądze w kopercie i zabrał kwiaty. Właścicielka nie widziała nikogo przed kwaciarnią, więc nie potrafiła powiedzieć, kto posłużył się takim posłańcem.

- Czy wcześniej dostawałaś już jakieś kwiaty z tej kwaciarni? Może w ten sposób zdobył twój adres?

- Nikt mi nie przysyłał żadnych kwiatów, od kiedy wróciłam do Edenthwaite. Nick gardził takimi gestami, a Jack nie zawracałby sobie głowy wiązkami dla siostry.

- O tej porze roku róże są bardzo drogie. Oznacza to, że mamy do czynienia z kimś, kto nie liczy się z forszą - Joe myślał na głos. - Chyba że jest to desperat, który nie zwraca na to uwagi.

- Czyli nie jest to Szkot - podsumowała złośliwie.

- Fakt, że kwiaty przyniósł posłaniec, oznacza, że zleceniodawca jest stąd.

- Też tak pomyślałam, ale tych dwóch cech naraz nie posiada nikt spośród personelu ani moich znajomych. - Westchnęła z rezygnacją. - Męczy mnie to tak bardzo, ponieważ mam świadomość, że powinnam znać tę osobę. Ten człowiek kręci się tak blisko, że wiedział, że jestem u ciebie w poradni!

- Bądź ostrożna. Nawet jeśli domyślasz się, kto to jest, odradzałbym ci bezpośrednią konfrontację. A już zdecydowanie nie w cztery oczy.

- Nie zrobię tego - zapewniła go. - Nie mam nawet ochoty wiedzieć, kto to jest. Chciałabym tylko, żeby dał

mi spokój. Nie chcę znać człowieka, którego cieszy dręczenie i straszenie innych.

Joe spojrział na zegarek.

- Vicky, muszę wracać do pacjentów. Poradzisz sobie?

- Poradzę. Chyba nikt nie będzie mnie prześladował na oczach tylu świadków?

- Nie chcę cię straszyć, ale sądzę, że dopóki ten psychopata nie zostanie zidentyfikowany, nie powinnaś sama mieszkać. - Wziął ją za rękę.

- Żeby odebrać mu szansę na kolejne ataki?

- Otóż to. Jeśli nie będzie miał okazji, może się zniechęci i poszuka sobie innej ofiary.

Zapisał pager Joego.

- Już mnie szukają. Sprawdzają, gdzie się zapodziałem.

- Skrzywił się niechętnie.

Vicky z ociąganiem uwolniła jego dłoń. Oboje jednak mają obowiązki wobec ludzi oczekujących ich pomocy.

- Dziękuję, że przyszedłeś, kiedy cię potrzebowałam. Ze ci się chciało.

- Nikomu nie życzę takich przygód, zwłaszcza mojej ulubionej partnerce do tańca. - Uśmiechnął się słabo. - Mało kto decyduje się poznać ezoteryczne uniesienia towarzyszące szkockim tańcom.

- Nawet w celach dobroczynnych?

- Nawet w celach dobroczynnych. - Kolejny raz popatrzył na zegarek. - Dzwon do mnie. Jeśli on jeszcze raz da o sobie znać, w jakiegokolwiek formie, trzeba będzie zawiadomić policję.

- Czy to konieczne? - wykrztusiła.

- Nie chciałem cię przestraszyć. - Objął ją opiekuńczym

gestem. - Uważam, że to będzie najlepsze wyjście. Nasze prawo nie toleruje takich metod nękania poddanych Jej Królewskiej Mości, więc zostaniesz potraktowana poważnie.

Gdy wyszedł, poczuła dziwny chłód w miejscu, gdzie Joe otaczał ją ramieniem, bardziej emocjonalny niż fizyczny.

Nie podejrzewała, że coś takiego można odebrać jako stratę uczuciową. Myślała, że na to potrzeba znacznie więcej czasu.

Odgłos otwieranych drzwi przywołał ją do porządku. W progu ujrzała mężczyznę.

- Słucham pana.

Wydało się jej, że w jego oczach błysnęła iskierka gniewu, lecz on sam tylko się uśmiechnął. Skąd ona go zna?

- Nazywam się Grant Naismith. Czy pani mnie sobie przypomina?

- Oczywiście! Przepraszam! Jak mogłam zapomnieć?! Od kiedy widzieliśmy się ostatni raz, przewinęło się tu tylu pacjentów, że nie sposób zapamiętać wszystkie twarze i nazwiska.

Gestem zaprosiła go, by usiadł, po czym nastawiła wodę na kawę.

- Czy pan się przyczynił do tego natłoku? - rzuciła żartobliwym tonem.

- Jak mam to rozumieć?

Miał bardzo śpiewny głos. Pomyślała nawet, czy nie powiedzieć mu o planach założenia szpitalnego chóru, który miał dać kilka koncertów z okazji Bożego Narodzenia. Oczywiście, jeśli zamierza dłużej pozostać w Edenthwaite. Jako lekarz wynajmujący się na zastępstwa na pewno często zmienia miejsce pobytu.

- Pytałam, ilu pacjentów pan do nas skierował. Być może jest pan zdania, że się tu nudzimy.

- Praca lekarza rodzinnego jest na pewno bardziej stresująca, niż się to wydaje lekarzom zatrudnionym w szpitalu - odciął się. - Ci ze szpitala uważają, że lekarze rodzinni idą na łatwiznę.

- Wcale tak nie myślę. - Dlaczego on jest taki wrażliwy na punkcie swojej specjalności?

- Bo zna pani doktora Faradaya? - rzucił zaczepnym tonem.

Zaczęła zastanawiać się, jak długo Grant stał pod jej drzwiami? Czy słyszał, o czym rozmawiała z Joem? Czy widział, jak Joe ją obejmuje?

- Nie tylko. Mój ojciec oraz brat też wybrali tę specjalizację. Od dziecka wiem, jak wygląda ta praca.

Podawała mu kubek z kawą, chociaż już żałowała tej propozycji. Było w tym człowieku coś odpychającego, ale teraz nie ma innego wyjścia, jak czekać, aż wypije tę kawę. Dopiero wtedy, mimo że podejmowanie miejscowych lekarzy rodzinnych nie należy do jej służbowych obowiązków, będzie mogła się go pozbyć.

- Którego pacjenta zamierza pan dzisiaj odwiedzić? - zapytała oficjalnym tonem, jak przystało na siostrę oddziałową. Zasiadła do komputera, gotowa szukać odpowiednich danych.

Jej gość był wyraźnie zakłopotany.

- Nie przyszedłem w sprawie pacjenta - zaczął. - Pomyślałem, że może zechce pani umówić się ze mną... Może na drinka? - W końcu spojrzął jej w oczy.

- Niestety, muszę panu odmówić. - Zastanawiała się

nad wiarygodną wymówką, ale dostrzegając w jego spojrzeniu niechęć, zdecydowała się na szczerość. - Proszę nie mieć mi tego za złe, ale prawie w ogóle pana nie znam.

- Przyjmując to zaproszenie, miałyby pani okazję poznać mnie lepiej. - Tym razem jego głos nie był już wcale taki melodyjny.

- Poza tym chyba zdążył się pan już dowiedzieć z różnych miejscowych plotek, że niedawno rozstałam się z mężczyzną, z którym byłam zaręczona, i na razie nie mam ochoty na nowe związki.

Nie minęła się z prawdą. Faktycznie zerwała z Nickiem i faktycznie nie zamierzała z nikim się wiązać, ponieważ uważała, że już jest związana z Joem Faradayem. Ale nie powinno to w ogóle interesować Granta Naismitha.

Jego kwaśna mina świadczyła o tym, że nie spodobały mu się jej argumenty.

- No cóż, pozwolę sobie za jakiś czas ponowić zaproszenie.

Z tym słowami podniósł się z fotela i wyszedł, a ona odetchnęła z ulgą.

Dziwny facet. Bez wątpienia przystojny. Podobno czarujący dla pacjentów, o czym donosiły jej koleżanki. Ale co one w nim widzą?

Ona nie dostrzega nikogo poza pewnym wysokim, zamkniętym w sobie Szkotem ze skłonnością do łobuzerskich uśmiechów.

Może tej jej wrażliwość na obcych należy tłumaczyć tym, że ktoś ją prześladowuje? Biedny doktor Naismith przeraziłby się, gdyby wiedział, że zaliczyła go do tej samej kategorii co maniaka, który podrzucił róże pod jej drzwi.

Przypomniała sobie, że nie posprzątała potłuczonego szkła. Trzeba będzie zrobić to po powrocie do domu.

Na razie musi zająć się oddziałem, wydać instrukcje młodszym pielęgniarkom i zajrzeć do poszczególnych pacjentów. Nie pora teraz siedzieć za biurkiem i dumać nad damsko-męskimi układami.

Joe zdjął okulary i obiema dłońmi potarł twarz. Oparł łokcie na biurku. Nareszcie jest na nim trochę wolnego miejsca. Jeszcze parę godzin temu cały blat był zasłany stosami papierów.

Od kilku godzin dyktuje listy do specjalistów w sprawie konkretnych pacjentów, pisze referencje dla kolegów, odpowiada na zaproszenia, by na rozmaitych konferencjach przedstawił wyniki badań naukowych lub wygłosił referat. Zapoznał się też z treścią specjalistycznych biuletynów informacyjnych, aby być na bieżąco z postępami medycyny, i przejrzał stosy ulotek zachwalających coraz to bardziej rewelacyjne specyfiki wyprodukowane przez największe koncerny medyczne świata.

Obliczył kiedyś, że czynności te zajmują mu dokładnie tyle samo czasu, co bezpośrednie kontakty z pacjentami.

Nie musiał robić tego akurat dzisiaj, i to takim nakładem czasu, ale pod pretekstem odrabiania papierkowych zaległości mógł zostać w ośrodku do końca dyżuru Vicky.

- Tylko wariat bierze się za taką robotę, mając pół dnia wolnego - mruknął niezadowolony. - Na dodatek, dzisiaj wyjątkowo zaświeciło słońce.

Zamiast tak się poświęcać, znacznie przyjemniej byłoby włożyć turystyczne buty i wyprawić się na któreś z pobliz-

skich wzgórz, pooddychać świeżym powietrzem i posłuchać lirycznego zawodzenia kulików.

Nie potrafił sam sobie wyjaśnić, dlaczego poczuł, że Vicky może go potrzebować. Nie potrafił też powiedzieć, dlaczego i skąd wzięło się to przeczucie. Nigdy nie dawał się ponieść wyobraźni, lecz gdy, słuchając jej relacji, poczuł, że skóra cierpnie mu na plecach, uznał, że nie wolno mu się od niej oddalić.

Wcześniej Vicky nie chciała zawiadamiać policji, licząc na to, że jej prześladowca zrezygnuje z dalszego działania, lecz ten ostatni incydent kazał mu zwątpić w słuszność takiej postawy.

Fakt, że kwiaty zostały postawione na progu domu, a nie wręczone Vicky osobiście, świadczy niezbicie o eskalacji zagrożenia.

Gdy nadszedł koniec jej dyżuru, postanowił spotkać ją „przypadkiem”, gdy będzie szła do samochodu. Pojedzie wówczas za nią i będzie miał pewność, że bezpiecznie dotarła do domu. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby pod jego nieobecność coś jej się stało z powodu tego psychopaty.

Dlaczego stawia się w roli jej opiekuna? Bóg mu świadkiem, że nigdy nie był szlachetnym rycerzem w lśniącej zbroi. Nie potrafił nawet uratować...

Przerwał ten wątek. To już przeszłość i nie ma żadnego związku z tym, co dzieje się teraz. Vicky jest zupełnie inna niż Celia. Vicky nie ma natury hazardzistki.

Miał jednak pewne obawy co do aktualnego stanu jej umysłu. Tyle lat była zakochana w Nicku Johnsonie... Nikt nie potrafi z dnia ha dzień, jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki, zapomnieć o takim uczuciu.

Przecież patrzył na jej łzy i musiał ją pocieszać, gdy załamała się po ślubie Nicka!

A teraz ten zboczeniec...

Wzbierający w nim gniew sprawił, że zacisnął pięści. Przyglądał się im zdumiony. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuł, że coś nadwerężyło jego starannie pielęgnowany emocjonalny pancerz.

Co w Vicky jest takiego? Dlaczego obchodzi go to, co się jej przydarzyło?

To całkiem normalne, że nikt nie chciałby, by stało się jej coś złego. Ale dlaczego akurat on zapragnął ruszyć jej z pomocą?

Właściwie nie łączy ich nic poza tym, że poświęcili się medycynie. Vicky jest młoda i piękna i na pewno, pomimo miłostnego zawodu, znajdzie godnego siebie mężczyznę, który zostanie jej mężem i ojcem jej dzieci.

On natomiast zdążył już zaznać szczęścia. Poza tym niebawem skończy czterdzieści lat. Jest święcie przekonany, że samotniczy tryb życia, jaki sobie narzucił, odpowiada mu znacznie bardziej niż najlepsze nawet małżeństwo.

Jeśli jednak ma być szczerzy, to nie jest to stuprocentowa prawda. Wcale nie jest szczęśliwy, ale nie zamierza jeszcze raz ryzykować takiego piekła, w jakim się znalazł, gdy stracił wszystko, co miał najdroższego.

Mocno zacisnął powieki, ale obraz jasnowłosej, niebieskookiej Vicky Lawrence nie zniknął.

Dlaczego nie może przestać myśleć o tej dziewczynie?

Dlaczego próbuje się oszukiwać, że Vicky to prawie dziecko, skoro, tańcząc z nią walca, trzymał w ramionach kobietę? Na tyle wysoką, by patrzyła mu w oczy, by mogła

oprzeć głowę na jego ramieniu, podczas gdy jej ciało, idealnie przylegające do niego, rozkosznie poddawało się falowaniu w takt upojnej muzyki.

Do tej pory pamiętał jej subtelny, wiosenny zapach, który go owiewał. Miał ochotę sprawdzić, czy pachnie tak jej skóra, czy włosy są tak jedwabiste, jak mu się wydawało, lecz zdołał odeprzeć tę pokusę.

Za drugim razem, gdy odprowadził ją pod jej drzwi, nie był w stanie zapanować nad sobą. Odwróciła się ku niemu, by zaprosić go do środka, i wówczas na widok jej rozchylnych warg poddał się ich milczącej magii.

Ten pocałunek był jak muśnięcie skrzydeł motyla, lecz wstrząsnął nim do głębi.

Wydawało mu się, że już pogrzebał wszystkie wspomnienia z przeszłości: tego co miał, co utracił, co pograżyło go w bolesnej, bezbrzeżnej samotności.

Mimo to ciągle myślał o tym, by powtórzyć ten pocałunek, bał się jednak, że nagle zapragnie przedłużyć owo upojne doznanie.

Jest wiele powodów, dla których powinien trzymać się od Vicky z daleka, chociażby ten, że jest od niej dużo starszy. On ma trzydzieści siedem lat, a ona nie więcej niż dwadzieścia trzy, i przed sobą całe życie.

Coś jednak podszeptywało mu, że powinien sprawdzić, czy to, co się między nimi pojawiło, jest tylko wytworem jego wyobraźni.

Być może, jeśli przekona się, że ten pocałunek niczym nie różni się od innych, będzie mu łatwiej o nim zapomnieć i spać spokojnie.

- Joe, nie wiedziałam, że dzisiaj pracujesz w przychodni!

Ucieszyła się na jego widok. Wychodziła właśnie z popołudniowego dyżuru i nie spodziewała się go spotkać. Sądząc po tym, że nadal był w ciemnym garniturze i stonowanej koszuli, zorientowała się, że od rana nie wychodził z ośrodka.

- Odwaliłem spory kawał papierkowej roboty - wyjaśnił, otwierając jej drzwi. - Czasami odnoszę wrażenie, że te papierzyska mnożą się jak króliki.

- Dobrze to znam. Myślałam, że komputery wybawią nas od biurokracji, ale okazuje się, że musimy robić kopię każdego dokumentu. Bywa, że przez kilka godzin rozpaczliwie szukam czegoś w bazie danych, po czym okazuje się, że ktoś już zrobił wydruk i położył mi go na biurku.

Rozmawiając o zawodowych sprawach, szli w stronę jej samochodu. Pomyślała nawet, że mogłaby spróbować zaprosić go na kolację

- O, nie! - krzyknęła niespodziewanie, zatrzymując się w miejscu na widok rozpłaskanej opony w przednim kole. - Założyli mi nową parę tygodni temu! Pewnie wjechałam na gwóźdź.

- Chyba raczej wjechałaś na cztery gwoździe, i to równo rozstawione - zauważył ponuro Joe.

Nie wierzyła własnym oczom. Cztery płaskie opony.

- Zdaje się, że przebite nożem. - Wskazał na długie cięcie w jednym z kół.

- Kto to mógł zrobić? Przecież to jest bezmyślny wandalizm! - oburzyła się.

- Chyba nieprzypadkowy - zauważył półgłosem.

- Myślisz, że to on? - zapytała z pobladłą twarzą.

- Tutaj masz kolejny dowód. - Joe wskazał na drzwi od strony kierowcy.

W srebrnym lakierze ktoś wydrapał obelżywy wyraz.

- Chyba wolałam, kiedy nazywał mnie Victoria - wysiliła się na żart.

Na nic, ponieważ z jej gardła wyrwał się niekontrolowany jęk.

- Obawiam się, że to może być zemsta - rzekł Joe z zadumą.

- Za co? - zapytała rozgorączkowanym tonem. - Nawet nie wiem, kto to zrobił. Nie mam wobec tego pojęcia, czym sobie na to zasłużyłam.

- A róże? - przypomniał jej. - Może jeszcze raz pojechał pod twój dom i zobaczył, jaki los spotkał jego wspinałomyślny dar.

- Nie mam nic przeciwko różom, ale tej wiązanki, nawet gdybym drzwiami nie zbiła wazonu, za nic w świecie nie wzięłabym do domu. Byłam taka przerażona, kiedy uprzytomniłam sobie, kto ją tam postawił, że chciałam stamtąd jak najszybciej uciec, bo bałam się, że on jest w pobliżu i mnie obserwuje.

- Wielka szkoda, że nie wiemy, kto to jest. To może być każdy... Na pewno ktoś, kto jest na tyle chory, że nęka Bogu ducha winnych ludzi telefonami i niszczy ich samochody, ponieważ nie spodobał się im jego bukiet. Póki co, ten samochód dzisiaj nigdzie nie pojedzie. - Joe położył dłoń na dachu jej auta. - Zabierz swoje rzeczy. Odwiozę cię do domu. Rano wezwiemy lawetę z warsztatu.

Nie miała siły protestować, tym bardziej że potrzebowała

słów otuchy oraz bliskości. Dopiero teraz zorientowała się, że z wrażenia upuściła na ziemię torbę, z której wysypała się cała jej zawartość. Stała, bezradnie wpatrując się w bałagan wokół swoich stóp.

- Naciśnij prawy guzik, żeby otworzyć drzwi, i wsiądź - powiedział, podając jej kluczyki.

Popchnął ją delikatnie w stronę swojego eleganckiego, choć nieco ubłoconego samochodu.

Ruszyła jak automat, otworzyła drzwi i usiadła. O swoim dobytku przypomniała sobie, dopiero gdy Joe podał jej torbę.

- Wcale nie musiałeś...

- Spokojnie, odpręż się.

Usiadł za kierownicą i nastawił łagodną muzykę.

Potulnie, kołysana rytmiczną melodią, pozwoliła wieźć się do domu.

- Nie wysiadaj - polecił, zatrzymując się u kresu tej krótkiej podróży.

Nawet nie otworzyła oczu, zasłuchana w kojące dźwięki jakiejś symfonii.

Z tego letargu wyrwał ją odgłos zamykanego pojemnika na śmieci. Westchnęła i odpięła pasy.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała, wysiadając niechętnie.

- Trzeba było posprzątać, żeby nie wnosić szkła do środka - oświadczył zasadniczym tonem.

Dopiero gdy otworzył przed nią drzwi, zorientowała się, że zbierając jej rzeczy ze szpitalnego parkingu, wziął jej klucze.

- Włączyłem czajnik z wodą, gdy wszedłem po szufelkę i szczotkę.

Stojąc stopień wyżej, popatrzyła mu głęboko w oczy, które stale zmieniały barwę, w zależności od jego nastroju. Tym razem były jasnopiwe i pełne troski.

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś bardzo miły? - zapytała. Nie umiała ukryć lekkiego drżenia głosu. - Skąd wiedziałeś, że boję się wracać do tego... - Wskazała na próg, na którym przez cały dzień leżały szczątki znienawidzonej wiązanki. - I że marzę o kubku gorącej herbaty?

- Może dlatego, że przez cały dzień te cholerne róże nie dawały mi spokoju - przyznał się. - Poza tym pierwszą, najważniejszą sprawą po powrocie do domu jest dla mnie herbata.

W tej samej chwili zagwizdał czajnik.

- Wobec tego, na co czekamy? - zapytała i gestem zaprosiła go do środka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tłumaczyła mu właśnie ze swadą, że przygotowanie kolacji nie sprawi jej najmniejszego kłopotu, gdy zapiszczał jego pager.

- Cholera, zostawiłem komórkę w samochodzie - mruknął i wstał od stołu. - Ciekawe, jak długo już mnie szukają.

- Całe szczęście, że ten dom jest w zasięgu pagerów. Zadzwoń z mojego telefonu.

Nie wiedziała, że tego wieczoru Joe może w każdej chwili być wezwany do szpitala.

Usiadła w fotelu, by bezczelnie przysłuchiwać się rozmowie. Jej domek był tak mały, że tak czy owak z każdego kąta słyszałyby, co mówi, a poza tym interesowało ją wszystko, co dotyczy Joego Faradaya.

Obserwując jego twarz, pojęła, że stało się coś poważnego.

- Muszę jechać - oznajmił. - Wypadek drogowy. Ciężarna z trójką dzieci. Krwawi, a położna podejrzewa częściowo odklejone łożysko. Od początku było nisko umiejscowione, na co mieliśmy zwrócić uwagę przy porodzie. Ale to sporo za wcześnie.

Vicky błyskawicznie skojarzyła fakty.

- Powiedz, że to nie jest Francine Laycock... to znaczy

Latimer! To jest jedna z moich najstarszych koleżanek w Edenthwaite. Joe, jeśli to ona, to jest dopiero dwudziesty ósmy tydzień!

- Muszę jechać - powtórzył, w drodze do drzwi wkładając marynarkę.

- Zaczekaj. Jadę z tobą. - Złapała kurtkę i klucze. - Przyda ci się ktoś, kto zajmie się dziećmi. Andy, jej mąż, wyjechał, a matka dotrze do Edenthwaite dopiero za parę godzin.

W milczeniu, pochłonięci własnymi myślami, pędzili do ośrodka. Vicky prawie zapomniała, że pierwszą specjalizacją Joego, zanim został lekarzem rodzinnym, była ginekologia i położnictwo.

Słusznie, że to jego wezwano.

Modliła się za przyjaciółkę, jedną z najbardziej radosnych istot na świecie oraz wzorową matkę. Takie tragedie nie powinny przydarzać się dobrym ludziom.

- Jak niebezpieczne jest odklejenie łożyska? Wiem, na czym to polega, ale czym to grozi Francine i dziecku?

- Nie mogę nic powiedzieć, dopóki jej nie zbadam - odrzekł ostrożnie. - Zdarza się to samoistnie, nawet podczas zdrowej ciąży. W przypadku Francine mogą dojść urazy w wyniku wypadku. Jeśli utrata krwi jest niewielka, leżenie w łóżku może zmniejszyć krwawienie.

- A jeśli krwawienie nie ustanie? - Zacisnęła kciuki, aby wykluczyć tę możliwość.

- Jeśli nie ustaje lub się nasila, obojgu grożą poważne komplikacje. Dziecko pozbawione tlenu i substancji odżywczych może umrzeć, a u matki mogą oprócz istotnej utraty krwi wystąpić skrzepy w naczyniach krwionośnych, niewy-

dolność nerek, nawet zgon. W takich sytuacjach lepszym wyjściem dla obojga jest wczesny poród.

- Ale to dopiero dwudziesty ósmy tydzień! - zawołała przerażona. - Według statystyk...

- Wiem o tym - przerwał jej, parkując tuż przy wejściu.

Już na progu oddziału powitał ich dziecięcy lament. Zamiast jak najszybciej pobiec do przyjaciółki, Vicky musiała najpierw zająć się chłopcami.

- Luke, Jake! Co was tu sprowadza?

Podbiegła do zapłakanych bliźniaków. Ich młodszy braciszek nie rozumiał jeszcze, co się stało, ale wyczuł rozpacz braci i solidarnie im wtórował.

- Ciocia Vicky! - chlipnęli chłopcy chórem, zeskoczyli z leżanki i rzucili się jej w ramiona.

Zastanawiała się, co im odpowie, gdy zasypią ją pytaniami. Od powrotu do Edenthwaite widywała ich dosyć często, ale nie na tyle, by czuć się pewnie w roli pocieszycielki. Wiedziała jedynie, że są wyjątkowo bystrzy i nie zadowolą się byle jakim wyjaśnieniem.

- Mama miała krew na czole - szlochał Jake.

A może był to Luke? Ciągle miała trudności z ich rozpoznawaniem.

- Nie pozwolili nam pójść z mamą - płakał Luke.

Czy Jake?

Paul, który miał nieco ponad rok, nie wdawał się jeszcze w rozmowy, ale potrafił bardzo głośno i stanowczo wyrażać swoje emocje.

- Cicho, skarbie, cicho. - Wyjęła go z samochodowego fotelika. - Rozumiem, że już ich zbadano? - zapytała półgłosem pielęgniarkę.

- Tak. W karetce i drugi raz tu, na miejscu. Nic im się nie stało, ponieważ wszyscy trzej byli przypięci pasami. Ale ich mama... - Dziewczyna miała łzy w oczach.

Jako ostoja trzech przestraszonych maluchów Vicky nie mogła sobie na to pozwolić.

- Zawiadam, kogo trzeba, że zabrałam ich w poszukiwaniu czegoś do picia. Podejrzewam też, że są głodni.

Wiedziała, że normalnie o tej godzinie już spali. Dlaczego Francine o tej porze wyjechała z nimi z domu?

- Iść z panią? - zapytała pielęgniarka bez większego entuzjazmu.

- Nie trzeba - zapewniła ją. - Poradzimy sobie, правда? Zabieram moją bandę na wyprawę w poszukiwaniu mleka i soku pomarańczowego. Co wybieracie?

Luke i Jake od razu zainteresowali się celem ekspedycji, przycichł też mały Paul, którego wzięła na rękę.

W stołówce chłopcy oznajmili, że są głodni jak dwa wilki, więc następne pół godziny upłynęło jej na krojeniu parówek i zapychaniu ciągle otwartych ust fasolką i jajecznicą.

Wrócili na oddział z dwoma wypożyczonymi zamykanymi kubeczkami z sokiem i butelką mleka.

Pierwszą osobą, którą spotkali, był Joe. Wyglądał teraz zupełnie inaczej. Był załamany.

- Co się stało? - zapytała przez ściśnięte gardło. - Czy Francine...?

- Nie, nie, ale musi podjąć trudną decyzję.

Nie powiedział nic więcej w obecności dzieci. Nie musiał. Po rozmowie w samochodzie Vicky z bólem serca domyśliła się, jaka może być diagnoza. Współczuła też jemu. Jak trudno jest przekazać pacjentce taką wiadomość...

Joe przesunął dłonią po zmęczonej twarzy.

- Ciociu... - Jeden z bliźniaków szarpał ją za rękaw.
- Gdzie jest mama? Czy już wyzdrowiała?

Przesunęła wzrok z niebieskich oczu na piwne.

- Mogę ich do niej zaprowadzić?

Zawahał się, jego rysy stężały na ułamek sekundy. Gdy odpowiedział jej, poczuła, że oto widzi tę jego stronę, której do tej pory nie znała.

- Może to i niezły pomysł? Może w ten sposób uda ci się ją przekonać, że z powodu zasady, przy której obstaje z takim uporem, ci chłopcy mogą zostać sierotami.

- Co takiego? To aż tak... - Nie mogła w obecności maluchów domagać się szczegółów.

- USG nie jest dobre. Ona nie chce o tym słyszeć, ale jedynym wyjściem jest cesarskie cięcie. I to natychmiast.

Aż się skurczyła na myśl o tym, jakie spustoszenie w tej pięknej rodzinie spowodowałyby śmierć Francine. Od lat Andy, Francine i ich chłopcy stanowili jej ideał związku. Tak wyglądałaby jej własna rodzina, gdyby Nick pokochał ją równie mocno, jak ona jego.

Nawet po zerwaniu zaręczyn nie przestała o tym marzyć. Jaka to tragedia osiągnąć coś takiego, a następnie to stracić.

Powlokła się z chłopcami do pokoju, w którym umieszczona została ich matka.

Francine leżała pośród szumu aparatury medycznej najnowszej generacji. Była blada jak płótno.

- Mama...

Vicky poczuła ulgę, widząc, że przyjaciółka powoli otwiera oczy.

- Moje dzieciaczki - szepnęła. - Znaleźliście ciocie Vicky...

- To ona nas znalazła. I dała nam parówki i fasolkę, a Paulowi jajkownicę.

- I piliśmy przez słomkę - dorzucił drugi głosik. - Kiedy pójdziemy do domu?

Vicky z trudem panowała nad sobą, tym bardziej że widziała, jak ta nieszczęsna kobieta gaśnie w oczach.

- Wiem, gdzie jest telewizor z kasetami wideo - oznajmił Joe.

Znowu w sukurs przyszedł jej Joe, który instynktownie trafił w samo sedno. Po ciasteczkach w czekoladzie była to druga rzecz, za którą malcy byli gotowi oddać wszystko.

- Z komiksami? - zapytali obaj naraz. - Możemy je obejrzeć, mamó? - Nie zauważyli nawet, że matka nie ma siły im odpowiedzieć, i już podali rączki Joemu.

Ten popatrzył na Paula w ramionach Vicky.

- Już zasypia. Zostaw go mnie. Będiesz miał pełne ręce roboty z tymi dwoma. Posiedzę przy Francine.

Wyczytała w jego spojrzeniu prośbę, by spróbowała porozmawiać z pacjentką. Wyczuła też, że czas nagli.

- Francine... - zaczęła, nie zwracając uwagi na kręcące się wokół pielęgniarki. - W tej chwili najważniejsze jest ratowanie życia.

- Daj spokój, Vicky. Nie mogę zabić mojego dziecka. To śmiertelny grzech - mówiła z wysiłkiem.

Vicky poczuła się bezradna wobec takiej nieustępliwości, lecz gdy w tej samej chwili śpiący na jej ramieniu chłopczyk poruszył się niespokojnie, poczuła przypływ mobilizującego gniewu.

- Wiem, że z pobudek religijnych jesteś przeciwna aborcji, ale nie spodziewałam się, że dopuszczasz możliwość samobójstwa - rzuciła prosto z mostu.

Krzążące się wokół nich pielęgniarki zamarły w bezruchu, a Francine otworzyła oczy.

- Vicky... - zaprotestowała słabo.

- Właśnie to robisz. Uważam, że to jest morderstwo oraz samobójstwo. Wiesz dobrze, że leżąc tu i nie pozwalając sobie pomóc, wykrwawisz się na śmierć. W ten sposób sama wydałaś wyrok na to dziecko. Francine, to tak jakbyś podcięła sobie żyły.

- Nieprawda. - Kobieta zbierała siły do walki o swoje najgłębsze przekonania. - Krwotok może ustać. Poza tym jest za wcześnie. Ono umrze.

- Umrze i tak, jeśli nie pozwolisz sobie pomóc, bo to krwawienie nie ustanie. Gdyby miało ustać, Joe nie proponowałby ci operacji. Pomyśl też o chłopcach. I o Andym.
- Przeszła do kolejnego argumentu. - Nie obchodzi cię, co z nimi będzie? Już ich nie kochasz?

- Kocham. - Francine rozplakała się. - Kocham ich wszystkich czterech, ale to maleństwo też kocham. - Położyła dłoń na żałośnie płaskim brzuchu. - Nie prosź mnie, abym je zabiła.

- Wcale cię o to nie proszę. To ty sama je zabijesz, jeśli nie zgodzisz się na operację.

Teraz ona przyłożyła rękę do brzucha ciężarnej. Żadnego ruchu. Czy już jest za późno?

Nie wolno tak myśleć.

- Już brakuje mu tlenu. Niedługo zaczną zachodzić nieodwracalne zmiany w jego mózgu. Potem brak tlenu zacznie

uszkadzać twój mózg, a twoje nerki przestaną pracować. Cesarskie cięcie to szansa dla was obojga. Jeśli się nie zgodzisz...

Zbierała myśli przed kolejnym atakiem. Podświadomie czerpała energię z tego drobnego ciała, które trzymała w ramionach: czuła, że walczy o jego przyszłość.

- Francine, co mam powiedzieć Andy'emu i chłopcom, jeśli nie zgodzisz się na operację? Jakie są twoje ostatnie słowa?

Z trudem wytrzymała zrozpaczone spojrzenie przyjaciółki. Po chwili Francine przeniosła wzrok gdzieś poza Vicky.

- Joe, ratuj moje dziecko, błagam cię.

Vicky była tak spięta, że nie zauważyła Joego, który stanął tuż za nią. Ulga, jaką poczuła, słysząc, że Francine zmieniła zdanie, sprawiła, że zakręciło się jej w głowie. Dobrze, że podtrzymały ją silne ręce Joego.

- Przysięgam, Francine, że zrobię wszystko, co w mojej mocy - oświadczył uroczyście.

Natychmiast zaczął wydawać polecenia personelowi, który, czekając na nie przez tyle czasu, błyskawicznie wziął się do pracy.

Vicky, mimo że nogi miała jak z waty, usunęła się z drogi. Dopiero teraz poczuła, że ramiona zupełnie jej zeszywniały pod wpływem ciężaru śpiącego dziecka.

Odczekała, aż Francine wywieziono do zachodniego skrzydła ośrodka, po czym usiadła przy jej dzieciach i zaczęła się modlić.

- Vicky... - Ściszony głos wyrwał ją ze snu. - Obudź się, dobrze?

Co on robi w jej sypialni? Nie, to nie jest jej sypialnia, bo tam nie śpi się na niewygodnym fotelu.

- Wyjdź na korytarz - polecił jej męski głos.

- Po co?

Przecież jest środek nocy.

- Nie chcę obudzić chłopców.

W okamgnieniu dotarło do niej, gdzie się znalazła i dlaczego.

- Francine! Czy...?

- Wyjdźmy.

Próbowała zerwać się z fotela, ale zdrętwiała stopa odmówiła jej posłuszeństwa. Pokuśtykała za nim boso.

- Błagam, mów.

Dotarli do poczekalni.

- Żyje - rzekł półgłosem.

Wyczuła jednak, że walka o życie Francine wcale nie była łatwa.

- Dzięki Bogu. I tobie, Joe. A dziecko?

Bała się odpowiedzi.

Strata tego dziecka byłaby ogromną tragedią dla Francine, która tak samo kochała wszystkie swoje dzieci.

- Żyje, ale ledwie udało się nam ją uratować.

- Dziewczynka?

Dwie wstrząsające wiadomości. Francine nie chciała wcześniej znać płci dziecka. Chciała przez parę miesięcy ludzię się nadzieją, że jest to upragniona dziewczynka, mimo że w rodzinie Andy'ego od pięciu pokoleń przychodzili na świat wyłącznie chłopcy.

- Jakie są jej szanse?

- Trudno powiedzieć, bo jeszcze nie znamy skutków wywołanych niedotlenieniem mózgu. Na jej korzyść prze-

mawia fakt, że Francine najwyraźniej niezbyt dokładnie znała czas poczęcia. To było znacznie więcej niż dwadzieścia osiem tygodni.

- Francine od samego początku nie miała regularnych miesiączek. Terminy każdego z jej porodów stanowiły sporą zagadkę.

- Drugi jej atut to płeć. Dziewczynki przed narodzeniem są lepiej rozwinięte i silniejsze.

- Mogę ją zobaczyć? Obydwie? - Z radości chciała rzucić mu się na szyję.

- Pospiesz się. Mała panna Latimer za chwilę zostanie przewieziona do większego szpitala, na specjalistyczny oddział neonatologiczny. Skoro przeżyła poród, uznałem, że musimy jej to zapewnić.

- A Francine?

Poprosiła pielęgniarkę, żeby czuwała przy dzieciach. Niepomna zasad profesjonalizmu bosko pobiegła za Joem do wyjścia, spod którego odjeżdżały karetki.

- Kiedy ją zostawiałem, była jeszcze zbyt odurzona, aby kojarzyć, co do niej mówię.

Noc była chłodna, do karetki wpadał zimny wiatr, lecz córeczka Francine, w inkubatorze z termoregulacją, nie musiała się go obawiać. Podczas podróży do jednego z najlepszych oddziałów neonatologicznych w kraju będzie chroniła ją aparatura najnowszej generacji.

- Jaka maleńka... Czy taka kruszyna ma jakąkolwiek szansę na przeżycie? Ma zupełnie przezroczystą skórę... - mówiła Vicky ze wzruszeniem.

- Jeśli wzięła coś po matce, to z pewnością upór - zauważył sucho Joe, gdy pielęgniarz zamykał drzwi karetki.

Objął ją ramieniem i poprowadził do ośrodka. - Miejmy nadzieję, że sobie poradzi.

- Możemy teraz zobaczyć Francine? Jeśli jest przytomna, powiem jej, że widziałam małą.

- Sądzę, że będzie spała do rana - ostrzegł ją. - Dostaje środek uśmierzający oraz krew. Jak to dobrze, że ma zero dodatnią grupę krwi.

- Do jakiego stopnia łożysko było odklejone, gdy ją operowałeś?

Gdy minęło bezpośrednie zagrożenie, Vicky poczuła potrzebę poznania wszystkich szczegółów.

- W ponad pięćdziesięciu procentach.

Zaskoczył ją taką informacją. Dobrze, że rozmawiając z Francine, nie zdawała sobie z tego sprawy, bo, nie daj Boże, z prerażenia nie byłaby w stanie do niczego jej namawiać.

- Nie chciałbym drugi raz mieć z czymś takim do czynienia - powiedział z naciskiem. - To był ostatni moment. Chwilę później stracilibyśmy obydwie na stole operacyjnym.

Chwyciła go za rękę.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować za to, co dzisiaj zrobiłeś. Przyjaźnię się z Francine od dziecka. Ona jest dla mnie jak rodzina.

- Zauważ, że nie zrobiłbym tego, gdybyś jej nie przekonała. Moje tłumaczenie na nic się nie zdało. Owszem, przyznaję, że pacjent ma prawo wyboru, ale w takich sytuacjach nienawidzę być bezradny.

- Nie przyszło mi to łatwo. - Wyczuła, że to ostatnie wyznanie Joego ma coś wspólnego z jego przeszłością. - Była przeciwna aborcji od chwili, gdy poznała znaczenie tego słowa.

- Ale ja przecież nie chciałem zabić jej dziecka, chciałem je ratować.

- To jest rozumowanie logiczne, a Francine kierowała się emocjami, mieszaniną strachu i macierzyńskiego instynktu opiekuńczego, który nasilił się z powodu gwałtownej utraty krwi i niedotlenienia mózgu. Nie była w stanie logicznie myśleć.

- Przeszłaś samą siebie. Nie widziałaś tego, ale wszyscy, nawet ci z najdłuższym stażem, byli bliscy łez, kiedy zapytałaś ją, co masz przekazać Andy'emu i dzieciom jako jej ostatnie słowa.

- Wiem, że to zabrzmiało melodramatycznie, ale tylko to przyszło mi do głowy, kiedy zastanawiałam się, jak uzmysłować jej powagę sytuacji. - Sprawiała wrażenie speszzonej. - Wiem, że Francine bardzo mnie kocha, i to wykorzystałam...

Spuściła głowę.

- Nie czuj się winna - powiedział ostrym tonem. - Jeśli będzie miała do ciebie żal, pociesz się tym, że jest to możliwe tylko dlatego, że nadal żyje.

Gdy weszli do pokoju Francine, pielęgniarka właśnie spisywała swoje obserwacje na temat jej stanu.

- Dochodzi do siebie - uśmiechając się, szepnęła na odchodnym. - Już zaczęła narzekać.

- Vicky... - rozległ się chrapliwy szepet.

- Już się obudziłaś! - ucieszyła się Vicky.

- Prawie...

Gestem kazała Vicky usiąść na łóżku.

- Powiedz mi prawdę - wyszeptwała przez łyżę. - Powiedz, co się stało z moim dzieckiem.

- Ona żyje! - odparta Vicky, chwytając dłoń przyjaciółki.

- Nie kłam - szlochała Francine. - On umarł, prawda?

Mój synek umarł przeze mnie.

- Mylisz się. Widziałam ją. Jest bardzo mała, ale wyrośnie na piękną pannę.

Słyszała, że za jej plecami Joe z kimś rozmawia.

- Sama zobacz - odezwał się niespodziewanie, podając coś Francine. - Teraz uwierzysz?

Vicky przypomniała sobie, że na oddziale panował zwyczaj fotografowania niemowląt wkrótce po narodzeniu. Jakie to szczęście, że w całym tym zamieszaniu ktoś o tym pamiętał.

- Była golusieńka, więc nie ma żadnych wątpliwości co do płci - wesoło zauważył Joe. - Strasznie na nas wrzeszczała za to, że wyjęliśmy ją z ciepłego gniazdka, co tu widać bardzo wyraźnie, więc masz też niezbity dowód na to, że żyje.

Francine jak zaczarowana wpatrywała się w zdjęcie.

- To jest moja córeczka? - szepnęła z niedowierzaniem.

- Moja maleńka?

- Tak, Vicky, to jest twoja córeczka.

- Żyje? - Francine jak zaczarowana wpatrywała się w oczy Joego.

- Jest bardzo mała i nieprędko zabierzecie ją do domu, ale kiedy wysyłaliśmy ją do kliniki neonatologicznej, nie mieliśmy cienia wątpliwości, że żyje.

Francine ponownie zalała się łzami.

- Przeprowadźcie Andy'ego. Przeprowadźcie chłopców.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jestem wykończona - westchnęła Vicky, sadowiac się w samochodzie Joego. - A przecież tylko przez jakiś czas zajmowałam się trzema małymi chłopcami. Wyobrażam sobie, jak ty się czujesz po takiej skomplikowanej operacji.

- Miałem łatwiejsze zadanie. Ci chłopcy są bardziej wścibscy niż cała inkwizycja. Na dodatek zasypywali mnie nieprzerwaną serią pytań, oglądając w tym samym czasie wideo.

- Oni już tacy są - zauważyła z czułością. - Nie mam pojęcia, jak Francine poradzi sobie z całą czwórką. Dobrze, że dwaj najstarsi zaczęli już chodzić do szkoły.

- Bardzo ich lubisz, prawda?

- Jestem ich honorową ciocią. Co oznacza, że w trójkę świetnie się bawimy, po czym tuż przed spaniem, zupełnie wyczerpanych, przywożę ich do Francine.

- Postrach wszystkich matek - zażartował. - Zapewne też byś chciała mieć dzieci, bo rola honorowej cioci chyba ci nie wystarcza...

- Oczywiście.

Przed oczami stanął jej obraz chłopaczka o takich samych, mieniących się, piwnych oczach jak oczy jego ojca. Czy jest szansa, że taki chłopiec przyjdzie kiedyś na świat?

- A ty? Zamierzasz założyć rodzinę?

Nie odpowiadał. Kiedy jednak się w końcu odezwał, miał bardzo zmieniony głos.

- Nie. Nie mam takich planów. - Ten ton nie zachęcał do dalszych pytań. - Jak to się mówi, już wiem, czym to się je. I nie zamierzam powtarzać.

- Nigdy? - O tym nie miała pojęcia żadna z niezamężnych dziewcząt w ośrodku, a kilka spośród nich spoglądało na Joego bardzo przychylnym okiem.

Dlaczego nagle poczuła się oszukana? Przecież nie czynił jej żadnych obietnic. To tylko jej wydawało się, że dzieje się między nimi coś specjalnego.

- Małżeństwo jest w porządku, ale cała reszta nie jest warta zachodu.

Milczała. To znaczy, że nie jest jej pisany *happy end*. Myślała, że kocha Nicka, lecz gdy poznała Joego, zrozumiała różnicę, jaka dzieli dziewczęce zauroczenie i to, co czuje do mężczyzny, który teraz odwozi ją do domu.

Upłynęło całe czternaście lat, zanim się ocknęła z tamtego młodzieńczego snu.

- O której jutro zaczynasz? - Zatrzymał się przed jej domem.

- Nie wiem. Dlaczego pytasz?

Nie myślała o niczym innym, tylko o narastającym w niej smutku. Ten człowiek siedzi obok niej na wyciągnięcie ręki, ale równie dobrze mogliby mieszkać na dwóch końcach świata.

- Bo musisz jakoś dojechać do ośrodka. Zapomniałaś już, że rano trzeba się zająć twoim autem?

- To wszystko wydarzyło się dzisiaj? Wydaje mi się, że upłynęło już mnóstwo czasu.

Skupiła się na planie swoich dyżurów.

- Zaczynam po południu. O pierwszej, ale lubię być wcześniej. Zamówię taksówkę.

- Jeśli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, powinienem o dwunastej skończyć przyjmowanie pacjentów. Zadzwoń do ciebie, gdyby coś się zmieniło.

Jaki oficjalny ton. Jakby po prostu razem pracowali, jakby nic między nimi się nie zdarzyło, jakby nie było tamtego pocałunku.

Tym razem nawet nie odprowadził jej do drzwi. Odczekał jednak, aż wejdzie do domu i dopiero wtedy odjechał w swoją stronę. Nie wiadomo, czy widział, jak pomachała mu na pożegnanie.

Była zbyt zmęczona, by myśleć o jedzeniu, ale też nie mogła zasnąć.

Przewracała się z boku na bok, walczyła z naporem najprzeróżniejszych myśli. Aż dziw, że jeszcze kilka miesięcy temu nużyła ją monotonia jej życia. W kółko tylko pracowała, uczyła się lub sprzątała. Nic poza tym.

Potem ponownie spotkała Nicka i od tej pory jej świat kręcił się jak szalony. Dzisiaj osiągnął siłę emocjonalnego tornado.

Najpierw kwiaty na progu. Już samo to wytrąciło ją z równowagi. Potem zdewastowany samochód. Dalej był strach, że będzie patrzeć, jak jej najlepsza przyjaciółka na własne życzenie wykrwawia się na śmierć.

Lecz do łez doprowadziła ją aktualna, jeśli w ogóle można ją tak nazwać, sytuacja z Joem. Poczwała się tak, jakby chciał wykreślić ją ze swojego życia, jakby nawet nie chciał się z nią przyjaźnić.

Najbardziej wyczerpał ją ten właśnie smutek, który zdołał przyćmić radość z powodu uratowania Francine i jej córeczki.

W tym stanie widziała wszystko w czarnych barwach.

Kochała swoją pracę, ale pragnęła robić coś więcej, myślała też o kimś, z kim wyruszy we wspólną podróż przez życie. Nick był tym kimś bardzo długo, chociaż szczerze nie żałowała tego, że zgodnie przystali na odwołanie ślubu. Ich związek z pewnością byłby całkiem szczęśliwy, lecz odkąd bliżej poznała Joego, wiedziała, że brakowałoby mu tej szczególnej magicznej aury.

Utrata Nicka jawiła się jej jako znacznie mniejsza tragedia niż perspektywa utraty Joego. Nic innego się nie liczyło. Nawet nieprzyjemne telefony i zniszczony samochód wydawały się jej mniej straszne, ponieważ miała pewność, że Joe jest przy niej.

Westchnęła nad ironią losu, który sprawił, że jeden mężczyzna obsesyjnie ją prześladowuje, drugi natomiast, ten, na którym jej zależy, nie chce mieć z nią wcale do czynienia.

Czy tak jest naprawdę?

Joe podjął się chronić ją przed plotkami podczas ślubu Nicka z Frankie oraz towarzyszyć jej na dobroczynnej potańcówce. Czy podjąłby się tej roli, gdyby jej nie lubił?

Do tego jeszcze ten pocałunek...

Tak delikatny, że trudno go nawet nazwać pocałunkiem, lecz stało się to z jego inicjatywy. Nie zrobiłby tego, gdyby nie miał ochoty.

A to dziwne uczucie bliskości? Jakby przepływała między nimi jakaś energia, łącząca ich za każdym spojrzeniem i każdym dotknięciem.

Prawdopodobnie Joe nie zdaje sobie sprawy z tego, że

ona widzi jego reakcje. Jest na to bardziej wyczulona, ponieważ wcześniej niczego takiego nie doświadczyła.

Dlaczego on udaje obojętność? Wznosi między nimi bariery? Czy ma to coś wspólnego z jego żoną? Może nadal ją kocha? Nie chce pozwolić, by ktoś zajął jej miejsce? Może uważa, że jest to w ogóle niemożliwe?

Im więcej stawiała sobie pytań, tym szybciej rozsnuwała się chmura przygnębienia.

- Nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego - skonstatowała z lżejszym już sercem. - Nie dowiemy się, co jest między nami, dopóki tego nie zbadamy.

Oby tylko Joe dał się do tego przekonać.

- Może powinnam po prostu zażądać od niego jakichś wyjaśnień? - zastanawiała się.

Przypomniała sobie obraz, który w dzieciństwie stawał jej przed oczami, gdy dorośli mówili, że zaskoczyli lwa w jego jaskini.

Joe nie bardzo kojarzył się jej z dostojnym lwem, królem sawanny otoczonym stadem lwic. Był bardziej podobny do zwinnej, tajemniczej pantery-samotnika.

Konfrontacja ze zranionym, jak podejrzewała, zwierzęciem może być niebezpieczna. Ono może się bronić, zadać śmiertelne rany.

Może lepiej posłużyć się jakimś kobiecym fortem?

Co to znaczy? Czy zna jakieś fortele? Więcej ma doświadczenia w odstraszeniu mężczyzn niż ich wabieniu. Nie raz i nie dwa jako szczupła blondynka z włosami do pasa musiała opędzać się od adoratorów, którzy nie dawali jej spokoju, jakby mieli umrzeć z powodu ogólnego zatrucia testosteronem, jeśli natychmiast nie zawloką jej do łóżka.

Joe to zupełnie inne wyzwanie. Jak go podejść?

Na początek należy puścić w niepamięć dzisiejszą nieprzyjemną zmianę w jego nastawieniu i jutro traktować go przyjaźnie i z uśmiechem.

Gdy już Joe oswoi się z myślą, że ona nie żąda od niego zbyt wiele, nadejdzie pora na konkretne działania: konsultacje z Francine, która wytrwale udzielała jej niezawodnych porad, od kiedy dostały pierwszy biustonosz i pojęły, że chłopcy są istotami z zupełnie innej planety.

- Dobry wieczór - zaszcebiotała, spotykając go po raz pierwszy następnego dnia.

Od początku była niemal pewna, że koło południa Joe zadzwoni, tłumacząc się niespodziewanym spiętrzeniem obowiązków. Nie bardzo wierzyła, że jest aż tak zawałony robotą. Najpewniej przestraszyła go perspektywa spędzenia z nią tych paru minut w samochodzie.

Joe jednak nie wie, że już zdążyła namówić wracającą do zdrowia Francine do współpracy. W odpowiedniej chwili przyjaciółka zatelefonowała do niej z informacją, że Joe właśnie wyszedł z jej pokoju. W ten sposób wiedziała, kiedy i gdzie może się na niego „przypadkiem” natknąć.

- Jaki jest stan Francine?

- Bardzo dobry. Jej zdaniem taki dobry, że już jest gotowa wyjść ze szpitala.

- To dlatego że nie może doczekać się, kiedy zobaczy małą. - Miejmy nadzieję, pomyślała, że babcia Lawrence nie miała racji w kwestii kary, jaka może człowieka spotkać za robienie brzydkich min.

Gdyby wiatr nagle zmienił kierunek, Vicky do końca

życia nie pozbyłaby się tego idiotycznego, filmowego uśmiechu. Ale i Joe, z taką pokerową twarzą, też nie wyszedłby na tym najlepiej.

- Dali jej na imię Amy.

- Powiedziała ci, skąd się to wzięło? - Tym razem jej uśmiech był już jak najbardziej szczery.

- Mają po temu jakieś szczególne powody? - Joe odprężył się na tyle, że odważył się oprzeć ramieniem o ścianę.

- Francine od dziecka opowiadała, że jak wyjdzie za mąż, nie będzie miała synów, tylko dwie śliczne córeczki: Amy oraz Aramintę.

- No to miała pecha! - roześmiał się.

Dobry początek, pomyślała.

- Dobrze, że dla tej kruszynki wybrała Amy, bo Araminta zupełnie do niej nie pasuje.

Nie chciała, by już odchodził, lecz w porę upomniała siebie, że ta kampania nie może być obliczona na szybkie rozwiązanie. Takie spotkania mają stać się fundamentem wspólnego życia aż po grób. Za nic w świecie nie wolno go poganiać.

- Słyszałam, jak rozmawialiście i śmialiście się - podkreśliła Francine, gdy Vicky weszła do jej pokoju.

- Opowiedziałam mu, ile musiałaś czekać, żeby nadać córeczce imię Amy.

Francine jęknęła.

- To znaczy, że po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, dowiedział się również o Aramincie.

Vicky nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia. Cieszyła się za to wyraźnie lepszym stanem przyjaciółki.

- Wyglądasz znacznie lepiej. Czy już mi wybaczyłaś, że tak ci dokuczałam?

- Szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętam, co się wczoraj działo. Wszystko mam zamazane od chwili, kiedy ten idiota wyjechał zza zakrętu prosto na mnie. Chciałam zrobić mu miejsce, ale chyba uderzyłam w skałę. Policjant twierdzi, że samochód okręcił się dwa razy, zanim stanął.

- Macie szczęście, że żyjecie.

Nie zdawała sobie sprawy, że wypadek był aż tak groźny, tym bardziej że dzieciom nic się nie stało.

- Zwłaszcza ja - przyznała Francine. - Andy się wściekł, kiedy się dowiedział, że o mało nie umarłam, nie zgadzając się na operację. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że byłam mocno nieprzytomna, ale dzięki tobie w ostatniej chwili odzyskałam resztki rozsądku.

- To należy do moich obowiązków - odparła Vicky beztroskim tonem, aby powstrzymać falę wzruszenia. - Robiłam wszystko, żebyś przeżyła. Pomyśl, ile lat musiałabym szukać nowej, serdecznej przyjaciółki, takiej jak ty.

- Czy mam przez to rozumieć, że wpadając „przypadkiem” na doktora Faradaya, wcale nie szukasz przyjaźni? Mów, co jest grane. Wytłumacz się, po co ten tajemniczy telefon z prośbą, żebym ci doniosła, kiedy Joe ode mnie wyjdzie.

Vicky niespodziewanie poczuła, że wstydzi się powiedzieć Francine, jak bardzo lubi człowieka, który poprzedniego dnia uratował jej życie.

Zanudzała ją całymi latami, wychwalając pod niebiosa Nicka, z którym tak niedawno zerwała. Czy Francine pomyśli, że jest powierzchowna, jeśli powie jej, jak bardzo

zaangażowała się tym razem? Czy zrozumie, że to, co czuła do Nicka, pomogło jej uświadomić sobie, że tym razem to jest prawdziwa miłość?

- Chciałabym się z nim zaprzyjaźnić... Na początek.

- O! Czy zanosi się na coś poważnego? - Francine udała zdziwienie. - Jest całkiem przystojny, chociaż trochę posępny. Jak się do ciebie odnosi?

- Nijak.

- Fakty, żądam faktów. Zniechęciłaś się do facetów? Podejrzewam, że wie o Nicku, skoro pracują w tej samej przychodni. Dybiesz na jego umięśnione ciało, czy masz na myśli coś poważniejszego?

- Nie, nie zniechęciłam się. Szczerze mówiąc, kiedy poznałam Joego, zrozumiałam, że Nick to pomyłka. To, że Nick doszedł do tego samego wniosku, sprawiło mi ogromną ulgę. Już ci o tym mówiłam.

- Ale słówkiem nie wspomniałaś o doktorze Joem. Czekam też na konkretne odpowiedzi na moje co ciekawsze pytania.

- Odpowiadam w kolejności, w jakiej je zadałaś: oczywiście oraz nie mam pojęcia.

- Ciekawostka... - zadumała się Francine. - Ta sprawa mnie zaintrygowała. Tak bardzo, że mogłabym nawet zostać nieco dłużej w waszym szpitalu i popatrzeć na rozwój wydarzeń.

- Gadaj zdrowa! - prychnęła Vicky. - Nic cię tu nie zatrzyma, jak tylko będziesz mogła odwiedzić Amy, nawet moje nieistniejące życie erotyczne. - Zbierała się do wyjścia. - Coś ci przynieść następnym razem?

- Nic mi nie trzeba. Ma przyjść Andy z chłopcami. Ma-

ma się nimi zajęła. Chyba pamiętasz, jak ona potrafi wszystkich poustawiać?

- Tego nie da się zapomnieć. Zobaczysz, jak będzie cię rozpieszczać, zwłaszcza że nareszcie dałaś jej okazję do uszycia tych wszystkich niebieskich szmatek z falbankami.

Francine ze wzruszeniem popatrzyła na zdjęcie Amy.

- Do końca życia będę wam dziękować - szepnęła. - Nie tylko za to, że uratowaliście mi życie.

- Nie miej zbyt wielkich nadziei. - Vicky niechętnie ostudziła jej radość. - Amy jest maleńka. Czeką ją jeszcze ogromny wysiłek. Na razie nie myśl o przyszłości. Kiedy będzie miała problemy, żyj z dnia na dzień albo nawet z minuty na minutę.

- Nie mam twojej medycznej wiedzy, ale widziałam sporo filmów dokumentalnych i wiem, co nas czeka. Wiem, że mogą wystąpić poważne komplikacje, ale czuję też, że Amy przeżyła nie tylko dzięki przypadkowi. Wierzę również, że niektóre tragedie też mają swoją przyczynę. Jestem przekonana, że Amy żyje, ponieważ ma jakiś szczególny powód, aby być wśród nas.

Słowa Francine dźwięczały jej w uszach przez kilka kolejnych dni.

Nie było dla niej nowością, że za pewnymi wydarzeniami kryje się jakaś przyczyna, lecz po raz pierwszy zastanawiała się, czy to samo można powiedzieć o jej własnym życiu.

Co stało za jej niezachwianą decyzją, że Nick zostanie jej życiowym partnerem? Dlaczego spotkała Joego w ośrodku Denison Memorial? Co kazało mu wspierać ją podczas ślubu Nicka i Frankie?

VICKY I JOE

Zapewne nigdy nie pozna prawdziwej odpowiedzi na te pytania, ale rozmyślania te pomagały jej uzbroić się w cierpliwość w trakcie ofensywy mającej zburzyć mur powściągliwości wzniesiony przez Joego.

Z zadowoleniem zauważyła drobne rysy na tej kamiennej twarzy, na przykład uśmiech zadowolenia, gdy odstawiono jej zreperowany samochód,

- Umyty! Na wierzchu i w środku! - zawołała z radością. - Może warto mieć od czasu do czasu jakiś niewielki wypadek.

Odzyskanie auta miało tę złą stronę, że Joe nie będzie już odwoził jej do domu. Pocięszała się, że w najgorszym razie skorzysta z rady Francine: rozładuje akumulator.

Kolejna rysa w murze obojętności pojawiła się jeszcze tego samego dnia, gdy Vicky postanowiła wpaść do Francine, by posłuchać relacji z jej pierwszej wizyty u Amy. W pokoju zastała Joego, który właśnie przechadzał się po pokoju z małym Paulem na plecach.

Był wyraźnie speszony tym, że dał się przyłapać na zabawie z dzieckiem, chociaż ją ten obraz po prostu rozczulił.

Kolejny raz podbił jej serce, gdy rozmawiał z Francine i Andym, trzymając na rękach uśpionego malca.

- Byłby z niego niezły ojciec - oświadczyła Francine, gdy już ją pożegnał i wyszedł z Paulem i Andym.

- Ty to wiesz i ja to wiem, ale on zdążył mi powiedzieć, że jego to nie interesuje.

- Ojcostwo czy twoja osoba? - dociekała przyjaciółka.
- Nie wierzę w jedno ani w drugie. Nie odrywa od ciebie oczu, kiedy jesteś w pobliżu, i nie wypuszcza z rąk małego Paula.

- Co mam robić? Wiem, czego chcę. To on się dystansuje.

- Obawiam się, że czeka cię trudna decyzja.

- Jaka? - Domyślała się, co Francine chce powiedzieć.

- Zawsze marzyłeś o mężu i dzieciach. Może będziesz musiała dokonać wyboru? Jedno albo drugie.

- Dziecko lub Joe? Mimo że na mój widok nie ucieka w popłochu w przeciwną stronę, nie zrobił niczego, co mogłoby wskazywać, że ma ochotę się wiązać?

- Gdybyś widziała, jak na ciebie patrzy, nie miałabyś wątpliwości, czy ma ochotę - zauważyła Francine z błyskiem w oku, po czym dodała poważnym tonem: - Za tą ostrożnością coś się kryje.

- Co na przykład?

Może Francine coś wymyśli?

- Różnica wieku?

- I ty to mówisz? Między tobą i Andym jest większa różnica wieku niż między nami!

- Dla nas to nie jest problem. Joe bywa taki poważny, że wydaje się starszy niż jest, ty z kolei wyglądasz młodziej. Może boi się ludzkich języków?

- Co mi radzisz? Mam powiesić sobie na szyi napis: „On ma tylko trzydzieści siedem lat, a ja dwadzieścia sześć”?

- Sądzę, że to nie będzie konieczne. On młodnieje, kiedy mówi o tobie. Ty i tak się zestarzejesz, zanim zdecydujesz się na dzieci... Och! - Francine ugryzła się w język.

- Czyli wróciłyśmy do wersji albo-albo - zauważyła Vicky.

- Może to ma jakiś związek z przeszłością? - Pod-

chwytlive pytanie, ale Vicky nie dała się sprowokować, mimo nieskrywanego zainteresowania Francine.

Nie powie jej, że wie o jego żonie, bo mówił jej o tym w zaufaniu. Ale może ona ma rację?

Rozpoczynając dyżur, nadal zastanawiała się nad tym, jak poznać kolejne odpowiedzi na nurtujące ją kwestie, nie naruszając przyjaznych stosunków łączących ją teraz z Joem. Jej rozważania przerwała informacja z urazówki, że za chwilę będzie miała nowego pacjenta.

- Kobieta po pięćdziesiątce w stanie śpiączki.

- W śpiączce? - zdziwiła się.

- Wiem, że nie jesteście przygotowane do całodobowej opieki nad pacjentem. Na razie nie wiadomo, co jej jest i nie mamy gdzie jej położyć. Lekarz wezwany do domu uznał, że stan jest poważny. Na pierwszy rzut oka wygląda to na zawał, ale rokowanie jest słabe. Pośleliśmy krew do laboratorium. Może zajść potrzeba umieszczenia jej na oddziale dla przewlekle chorych.

Mimo że opieka nad taką pacjentką byłaby logistycznym koszmarem na jej oddziale, Vicky miała odrobinę nadziei, że stan pacjentki nie będzie wymagał przewiezienia jej do szpitala w dużym mieście. To wielkie utrudnienie dla członków rodziny.

Nie pozostawało jej jednak nic innego, jak przygotować jednoosobowy pokój. Rozmyślenia na temat Joego muszą poczekać, aż będzie miała wolną chwilę, zapewne dopiero tuż przed zaśnięciem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Z ciężkim sercem, zanim dotarła na oddział, przyjęła wiadomość, że pacjentka zmarła.

- Oczywiście przeprowadzą teraz *post mortem* - oznajmiła pani Olsen, spoglądając na Vicky znad robótki.

Ta chora była duszą oddziału. A także uszami całego szpitala. Marjorie Olsen wiedziała o wszystkim, nawet zanim wieści dotarły do lekarzy. Tak szeroki zakres wiedzy osiągała dzięki temu, że jeden z kuzynów jej szwagra był noszowym.

Vicky nie odezwała się.

- Trzeba było zrobić *post mortem* naszej mamusi. Była zdrowajak rydz, mimo że miała osiemdziesiąt lat - ciągnęła pani Olsen. - Upadła niedługo po tym, jak ja wylądowałam w szpitalu, tu u was. Jak przyjechał lekarz, to stwierdził zawał. Robił, co mógł, ale umarła w drodze do szpitala. Byłam po operacji i na pogrzeb pojechałam na wózku. No ale przecież nie mogłam nie być na pogrzebie, prawda? Bardzo mamusię kochałam.

Vicky w duchu podziwiała jej umiejętność mówienia bez przerwy.

- W pewnym sensie nie było to dla nas niespodzianką. Kilka dni przed tym, jak przyjęto mnie do szpitala, dokładnie w taki sam sposób umarła jej najbliższa przyjaciółka. No,

może nie w taki sam, bo ona nie upadła. Miała po zimie lekki bronehit i to moja mamusia dzwoniła po doktora, bo staruszce trudno się oddychało.

Vicky bezskutecznie próbowała zatrzymać ten potok słów, ponieważ chciała przejrzeć leki w szafce.

- Mamusia mówiła, że ten doktor był bardzo miły. To jest ten, który pracuje w tym nowym gabinecie na drugim końcu doliny. No, wiesz gdzie. W kierunku wyjazdu na autostradę. Zrobił jej jakiś zastrzyk, ale tak naprawdę już nic nie można było poradzić. Mamusia opowiadała, że jej przyjaciółka zaczęła się pocić, trząść i mówić od rzeczy, a potem straciła przytomność. Jak przyjechała karetka, to lekarz orzekł zgon. Mam nadzieję, że mamusia nie cierpiała. Od śmierci tatusia mieszkała sama i gdyby nie ten doktor, nikt by jej nie pomógł, bo ja leżałam w szpitalu, a mój John był daleko, w polu.

Vicky nie miała innego wyjścia, jak czekać na koniec tego sprawozdania.

- Terry, syn naszej Sandry, który tu u nas pracuje, twierdzi, że w zimie zawsze umiera paru staruszków, ale w tym roku to się jakoś nie kończy, chociaż wiosna za pasem. Niedługo wszyscy starzy wymrą, a wtedy to my będziemy najstarszym pokoleniem.

Koniec nastąpił wraz z przyjazdem wózka z podwieczorkiem.

Vicky jednak nadal zastanawiała się nad czymś, co poruszyło ją w opowieści starszej pani. Lecz im bardziej się starała, tym bardziej ten wątek jej umykał.

Jakiś czas później, gdy nadal analizowała relację pani Olsen, zadzwonił telefon. Machinalnie podniosła słuchawkę.

Zupełnie zapomniała o swoim prześladowcy, który od kilku dni nie dawał o sobie żadnego znaku.

Dała się zaskoczyć. Ponownie usłyszała ten zniechęcony, śpiewny głos:

- Victoria... Ciągle tu jestem...

Przez ułamek sekundy miała ochotę krzyknąć w słuchawkę coś obelżywego, ale Joe ostrzegł ją, że taka reakcja może spowodować eskalację poczynań tego psychopaty.

Przerwanie połączenia również może wyprowadzić go z równowagi. Skupiła się więc na wyławianiu charakterystycznych odgłosów w tle, które mogłyby pomóc w zlokalizowaniu jej okrutnego rozmówcy. Usłyszała tykanie ściennego zegara, a dalej coś, co przypominało śpiew ptaków.

Nie wiedziała, jak długo siedzi ze słuchawką przy uchu, mimo że na pewno nie chciała usłyszeć tego, co prześladowca rzucił jej na pożegnanie.

- Dostyc tego dobrego! - Joe zdenerwował się nie na żarty. - Dzwon na policję. Natychmiast.

- Co policja może zrobić? - zaprotestowała. - Pomyśl logicznie.

- W tej chwili daleki jestem od logicznego myślenia - warknął z irytacją.

Krążąc wte i wewte po ciasnym pokoju, jeszcze bardziej przypominał rozdrażnioną panterę.

Wzburzył się już w chwili, gdy opowiedziała mu o telefonie, lecz prawdziwa wściekłość ogarnęła go, gdy przytoczyła słowa rozmówcy. „Jeszcze się spotkamy.”

- Policja może dopilnować, żeby ten sukinsyn do ciebie się nie zbliżał.

- W jaki sposób? - zapytała słodkim tonem, upajając się zarazem jego troską o jej osobę.

Czy przemawia przez niego zwyczajne ludzkie współczucie, czy może żywi do niej uczucie silniejsze, niż im się obojgu wydaje?

- Jak myślisz, ilu policjantów nie ma nic lepszego do roboty, niż pilnować mnie przez okragłą dobę?

- Mieliliśmy okazję przekonać się, co on potrafi zrobić z samochodem. Wolę nie czekać, żeby zobaczyć, co zrobi z tobą.

Dała za wygraną.

Podczas gdy Joe walczył przez telefon z kolejnymi szczeblami biurokracji, zastanawiała się nad zmianą, jaka zaszła w jego stosunku do niej. Mimo że od początku studiów pielęgniarskich była całkowicie niezależna, musiała przyznać, że posiadanie kogoś, kto troszczy się o jej bezpieczeństwo, sprawia jej ogromną przyjemność. Tym bardziej że był to Joe.

- Zaraz przyślą kogoś do szpitala, żeby z tobą porozmawiał - oświadczył z satysfakcją w głosie.

- Joe, jestem tutaj, żeby pracować. Nie mogę zaniedbywać swoich obowiązków, gawędząc z policjantem.

- Nie sądzę, żeby ktoś miał ci to za złe. Ten policjant ma także skontaktować się z Fletcherem w sprawie zabezpieczeń w szpitalu. Wszyscy wiemy, że parking dla personelu nie jest odpowiednio zabezpieczony. Co by było, gdyby ten psychopata, który pociął ci opony, czekał tam na ciebie z nożem? Zresztą tu chodzi nie tylko o ciebie i nasze pielęgniarki. W ośrodku i w jego pobliżu przebywa mnóstwo ludzi słabych, idealnych kandydatów na ofiarę. Nie można pozwolić, żeby kręcił się tu taki maniak.

Nie przyznała się do tego, lecz w skrytości ducha była wdzięczna, że policja wreszcie zajmie się tą sprawą. Od incydentu z oponami obawiała się końca każdego dyżuru i tego, co zobaczy na parkingu. Nie musiała o tym myśleć, gdy podwoził ją Joe.

Kłopot polegał na tym, że nie chciała sprawiać wrażenia kogoś, kim trzeba się opiekować. Ma konkretny zawód oraz powierzono jej odpowiedzialną funkcję. I chce, by Joe tak ją postrzegał. Wszelkie sygnały, świadczące o tym, że jest zbyt słaba, by móc o sobie decydować, na pewno nie pomogą jej w podboju Joego.

Była zła. Żeby się uspokoić, wzięła głęboki wdech i licząc do dziesięciu, powoli wypuszczała powietrze.

Od jakiegoś czasu była przekonana, że prześladowca znudził się jej stoicką postawą i postanowił dać jej spokój. A teraz znowu, akurat gdy jej kampania zaczęła nieco posuwać się naprzód, wszystko diabli wzięli i Joe znowu dostrzeże w niej jedynie potrzebującą pomocy ofiarę, zamiast samodzielnej, pełnoprawnej partnerki.

Wcale nie ukrywał, że czeka na policjanta, by dorzucić swoje trzy grosze, ale zanim nadarzyła się ta okazja, wezwano go na urazówkę.

- Obawiam się, że zajmie mi to trochę czasu - powiedział poirytowanym tonem, odkładając słuchawkę. - Chłopak na deskorolce źle wyliczył wysokość krawężnika i wjechał w sklepową witrynę.

Nie wiedziała, czy jego nieobecność cieszy ją, czy martwi. Z jednej strony, jeśli Joe nie dowie się, jak bardzo jest przerażona tą sytuacją, będzie mogła przed nim udawać, że jest bardzo dzielna. Z drugiej, jego obecność na pewno do-

dałaby jej otuchy. Poczuła to, jak tylko wyszedł z pokoju. To nie to samo, co świadomość, że w każdej chwili może do niego zatelefonować.

Gdy powiedziano jej, że policja już jest w ośrodku, przyłapała się na bardzo stereotypowym myśleniu: wyobraziła sobie, że będzie miała do czynienia z mężczyzną w mundurze, który uzna jej strach za co najwyżej kobiecą histerię. Okazało się, że oddelegowano do niej policjantkę, niewiele starszą od niej, która ze zrozumieniem wysłuchiwała relacji o tym, jak stresujące jest życie osoby będącej ofiarą takiego natręta.

Rozmawiały przez godzinę, w trakcie której Vicky od czasu do czasu musiała robić przerwy, by odpowiadać na niecierpiące zwłoki pytania swoich młodszych podwładnych.

Pod koniec spotkania wypiły po jeszcze jednej herbacie, gawędząc o problemach kobiet w miejscu pracy.

- W tej chwili moje życie to istny koszmar - westchnęła sierżant Ducci. - Mój mąż wrócił do Włoch, żeby się zastanowić, czy kocha mnie na tyle mocno, aby znosić angielską pogodę. Poza tym niedawno umarła moja matka. Na zawał. Była wtedy akurat u lekarza, który robił, co mógł, żeby ją ratować, ale zawał był zbyt rozległy. To był dla mnie ogromny szok, ponieważ nigdy mi się nie przyznała, że cierpi na chorobę serca. Gdybym o tym wiedziała, nie prosiłabym jej o zajmowanie się moją córeczką, kiedy pełnię służbowe obowiązki.

W takich sytuacjach Vicky zawsze bardzo starannie dobierała słowa.

- Przynajmniej ma pani świadomość, że od razu udzielono jej fachowej pomocy.

- Ten lekarz był fantastyczny. - Policjantka uśmiechnęła się. - Był znacznie młodszy od tego, u którego normalnie się leczyła. Chyba zastępował tego starszego. Pocięczał mnie, że nie cierpiała.

Vicky kolejny raz wyteżyła pamięć. Który to już raz słyszy pochwały pod adresem lekarza? I to nieodmiennie w kontekście starszych osób oraz nagłego zawału.

Przestań, pomyślała, jesteś tak przejęta tym psychopata, że wszędzie widzisz przestępców. Nie mogła jednak powstrzymać się przed zadaniem pytania:

- Kto to był? Któryś z lekarzy z Denison Memorial?

- Nie, nie. Pracuje w gabinecie na drugim końcu doliny, przy wyjeździe na autostradę. Nazywa się Naismith i jest bardzo przystojny. Jeśli szuka pani męża, to wiem to z pewnego źródła, że jest do wzięcia. Zna go pani?

- Widziałam go jeden raz, kiedy przyszedł dowiedzieć się o zdrowie swojej pacjentki. - O ile dobrze pamiętam, pacjentka zmarła na zawał w drodze do szpitala. - Nie zrobił na mnie większego wrażenia.

- Aha. - Policjantka uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Ma pani kogoś innego na oku. Proszę posłuchać mojej rady i nie spieszyć się ze ślubem. Poznałam Gina podczas wakacji. Rok później byliśmy już małżeństwem, a ja urodziłam córeczkę.

Vicky rozejrzała się, czy nie ma nikogo w pobliżu.

- Już do tego dojrzałam. - Na wszelki wypadek zniżyła głos. - Ale gdyby to zależało tylko od niego, byłyby to wyłącznie platoniczna zażyłość.

- Zdążyłam się zorientować, jak bardzo ceni pani sobie pracę, która codziennie stawia przed wami nowe wyzwania.

Liczę na panią. Miejmy nadzieję, że ta nieprzyjemna sprawa się wyjaśni. Następnym razem mam nadzieję zobaczyć panią na ślubnym zdjęciu w naszej lokalnej gazecie.

Vicky roześmiała się, ale pożegnawszy Angelę Ducci, zastanawiała się, czy to w ogóle jest możliwe.

Rozmowa z policjantką utwierdziła ją w przekonaniu, że przyjęła słuszną postawę wobec prześladowcy. W trakcie tej ze wszech miar pożytecznej rozmowy otrzymała od niej sporo rad zebranych na podstawie doświadczeń innych kobiet.

- Co powiedziała? - zaskoczył ją znienacka Joe.

- Nie rób tego! - warknęła, zastanawiając się, czy jej serce pobiło rekord świata.

Byłoby zresztą tak samo, gdyby zawczasu widziała, że się zbliża. Zawsze przyprowadzał ją o szybsze bicie serca.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem, ale myślałem, że mnie widzisz. Policja już się zmyła?

- Jakiś czas temu. Jak roboty krawieckie?

- Miał chłopak szczęście, że niczego ważnego sobie nie przeciął. Nie mam pojęcia, jak mu się to udało. Trzeba było założyć mu kilkanaście szwów. Jakie kroki przedsięwzema?

- Kto? W jakiej sprawie?

- Policja. W sprawie tego zbrojeńca - zniecierpliwił się Joe. - Jak zamierzają cię chronić?

- Nie licz na to. Czytasz przecież gazety i oglądasz wiadomości. Wiesz, że nie są w stanie ochraniać wszystkich maltretowanych kobiet i dzieci. Skąd mają wziąć ludzi dla mnie?

- Co wobec tego zamierzają zrobić? Nie mogą tak po prostu umyć rąk, gdy te incydenty się nasilają.

Przecięgnął palcami po włosach. Czyżby dostrzegła na jego głowie pierwsze oznaki siwizny?

Pochlebiało jej wprawdzie, że tak bardzo się przejął, ale nie posuwało to sprawy naprzód.

- Zrobię herbatę i na spokojnie wszystko ci opowiem.

Uznała, że jest to jedyny sposób, by przestał nerwowo przemierzać pokój. Wówczas powie mu to, co uzna za stosowne.

- Sierżant Ducci pochwaliła mnie za to, że dzięki tobie do tej pory nie popełniłam żadnego błędu. - Siedzieli już przy stole, nad kubkami z gorącą herbatą i puszką herbatników. - Przede wszystkim zimna krew i unikanie konfrontacji. Obiecała przysłać do Fletchera kogoś, chyba z prewencji, kto poinstruuje go w kwestii bezpieczeństwa personelu na terenie ośrodka. Będzie się to wiązało z zainstalowaniem dodatkowego oświetlenia na parkingach oraz kamer.

- Tego nie da się zrobić już jutro - zauważył ponuro.

- Masz rację. Dlatego też poradziła mi, żebym zawsze szła do samochodu w czyimś towarzystwie. Jeśli w okolicy grasuje jakiś maniak, dobrze byłoby, żeby żadna z kobiet nie szła sama na parking, dopóki nie będzie dodatkowego oświetlenia i kamer.

- Co jeszcze mówiła? Powiedziała coś na temat telefonów?

- Nasza telekomunikacja, mając upoważnienie policji, potrafi wykryć wszystkich, którzy do mnie dzwonią. Jeśli nie jest to specjalnie spreparowany telefon komórkowy, telekomunikacja jest w stanie poznać numer, z którego wychodzi połączenie, a co za tym idzie także nazwisko właściciela telefonu.

- Banalnie proste. Ale czy to się sprawdza również wtedy, gdy rozmowy idą przez szpitalną centralę? Czy potrafią namierzyć, skąd dzwoni ten maniak?

- Nie pytałam o techniczne szczegóły - przyznała. - Interesowało mnie, co policja może zrobić, żeby ten facet przestał mnie prześladować, oraz w jaki sposób go złapią. Żeby innym oszczędzić podobnego stresu.

- Co miała do powiedzenia na temat kwiatów pod twoimi drzwiami? Założą ci kamerę?

- Proponowała, żeby ktoś ze mną mieszkał, dopóki go nie zamkną, ale nie chcę nikogo w to wciągać. Do śmierci bym sobie nie wybaczyła, gdyby przeze mnie komuś coś się stało.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony, ale nie o to chodzi - przerwał jej poirytowany. - Ostatnio mówił, że wkrótce się zobaczycie. Po tym, co zrobił z twoim autem, nie chcę, żebyś była w domu sama. Uważam, że powinnaś przenieść się do mnie, dopóki go nie złapią.

Jakie to proste, ale sama myśl o zamieszkaniu z nim pod jednym dachem przyprawiła ją o zawrót głowy.

Kusząca propozycja. Bardzo kusząca.

Co rano budziliby się pod tym samym dachem, jedli razem śniadanie, a potem wracaliby do domu na kolację. To tylko jeden krok od codzienności małżeńskiego stadła.

Niestety, jest to pomysł niewykonalny, chociażby dlatego, że nie pozostałaby długo przy zdrowych zmysłach, żyjąc tak blisko niego w układzie platonicznym. Gdyby byli kochankami...

Nie, to nie pora ani miejsce na takie rozważania. Będzie dzisiaj zasypiać, opłakując szansę, z której sama zrezygnowała.

- To bardzo miło z twojej strony, ale jeśli policja ma go schwytać, muszę być tam, gdzie on będzie chciał się ze mną skontaktować. Muszę to policji ułatwić, a gdy zniknę...

- Specjalnie chcesz wystawić się na niebezpieczeństwo? - Z trudem udawało mu się nie podnosić głosu. - Liczysz na to, że pozwalając mu się nękać, pomożesz policji w jego ujęciu?

- Co innego masz mi do zaproponowania? - rzuciła. - Nie mogę zacząć żyć w ukryciu. Trudno byłoby mi wtedy zarabiać na życie. Poza tym... - Nie pozwoliła sobie przerwać. - Nie zgadzam się, żeby jakiś zakręcony psychopata decydował o tym, jak i gdzie mam żyć. On nie ma do tego prawa.

Joe zacisnął wargi, jakby starał się zatrzymać gniewne słowa, cisnące mu się na usta, lecz niepokój w jego spojrzeniu sprawił, że Vicky poczuła ogromne ciepło rozlewające się wokół serca.

- Joe, obiecuję, że nie będę ryzykować - dodała półgłosem.

- Wiem, że będziesz - wycedził przez zęby. - Wystawiając się tak, umożliwiając mu kontaktowanie się ze sobą, narażasz się na kolejne szykany.

- Nie mam wyboru.

Postanowiła posłużyć się logiką, by go przekonać. Chciała mieć pewność, że mimo wszystko w razie czego może liczyć na jego pomoc lub choćby słowo pocieszenia.

- Nie chcę, żeby nie mogąc mnie prześladować, zwrócił się przeciwko komuś, kto nie ma takiego wsparcia, jakie mam w całym ośrodku.

Wydał z siebie pomruk, który świadczył o tym, że nie

do końca jest zadowolony, lecz ona wyczula, że przynajmniej w końcu pojął, o co jej chodzi.

- Przede wszystkim nie rozumiem, dlaczego to mnie sobie upatrzył? - zastanowiła się. - Nie jestem hollywoodzką gwiazdą, znaną wokalistką, ani córką milionera. Dlaczego akurat ja?

- Chyba żartujesz - roześmiał się z niedowierzaniem. - Nie patrzysz w lustro? Jesteś piękną młodą dziewczyną. Długie nogi, długie blond włosy, niebieskie oczy. A na dodatek ciężko pracujesz, jesteś świetna w tym, co robisz, i masz wyjątkowy charakter.

Zaczerwieniła się, speszona. Czy pomyślał, że świadomie sprowokowała aż tyle komplementów?

- Chyba przesadzasz. Skoro to prawda, to dlaczego ciągle jestem dwudziestosześcioletnią panną na wydaniu?

- Ty masz dwadzieścia sześć lat? - zdumiał się, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

- Prawie dwadzieścia siedem. Dziwi cię to? A ty myślałeś, że ile?

- Dwadzieścia dwa, najwyżej dwadzieścia trzy. Na tyle wyglądasz - bronił się. - No tak, jesteś siostrą oddziałową, a żeby nią zostać w Denison Memoriał, trzeba mieć za sobą kilka lat praktyki - przyznał.

Zauważyła, że jest bardzo skonfundowany.

- Chyba powinienem cię przeprosić - rzekł półgłosem, jednocześnie się czerwieniąc.

- Za to, że traktujesz mnie jak małolatę, a nie jak dojrzałą kobietę, która doskonale wie, czego chce? Być może...

- Postanowiła wykorzystać sytuację. - Ale wolałabym, żebyś zamiast mnie przeproszać, zaprosił mnie na kolację. Żebyś przestała myśleć o tym maniak.

Wzdrygnęła się na myśl o tym, że może być obserwowana nawet wtedy, gdy robi coś tak niewinnego jak wypad z kimś do restauracji.

Przeszkadzało jej nieprzyjemne uczucie, że nie panuje nad swoim życiem, że ktoś może jej dyktować, co ma robić, że ogranicza jej wolność, a być może nawet planuje pozbawić ją życia.

Pozbawić kogoś życia...

To tylko potoczny zwrot, ale wyjątkowo złowieszczy. W tej samej chwili przypomniała sobie o swoim brzydkim podejrzeniu, że ktoś może działać na szkodę pacjentów w podeszłym wieku.

- Joe... - zaczęła.

- To nawet niezły pomysł - przyznał, zaskakując ją taką odpowiedzią, ponieważ myślami była zupełnie gdzie indziej. Zapomniała, o czym wcześniej mówili.

- Tak sądzisz? - Popatrzyła nieco nieprzytomnie w jego piwne oczy.

- Co proponujesz? Masz jakieś preferencje?

- Preferencje? - powtórzyła.

Drań, na pewno się połapał, że myślała o czym innym! Czuła, że w duchu się z niej śmieje.

- Rozmawialiśmy o tym, dokąd pójdziemy na kolację - przypomniał jej z wymownym uśmiechem. - O czym myślałaś?

- Zastanawiałam się, jak dotrzeć do danych o wszystkich lekarzach, którzy są na krótkoterminowych kontraktach w okolicy Edenthwaite.

- Co chciałabyś o nich wiedzieć i po co?

Błyskawicznie podjął nowy wątek, przy czym Vicky po

raz kolejny, ku swojemu rozczarowaniu, zauważyła, że od samego początku łatwiej rozmawia się im na tematy zawodowe niż osobiste.

- Chciałabym dotrzeć do podstawowych danych. Ilu ich jest w naszym rejonie, od jak dawna tu pracują, czy kierowali pacjentów do naszego szpitala oraz czy ich tu odwiedzali - wyliczała na chybił trafił.

Zapewne więcej pytań nasunie się jej, gdy uzyska pierwsze odpowiedzi.

- Zaraz, zaraz! Skąd ten pomysł? Nie przypominam sobie, żebyś mi mówiła o twoim prześladowcy cokolwiek, co mogłoby sugerować, że jest to ktoś ze środowiska lekarskiego.

- To nie ma z nim nic wspólnego - pospieszyła z wyjaśnieniem. - To całkiem inna sprawa. Może się też okazać, że idę złym tropem.

- Mów, co jest grane.

- Chcę obejrzeć te dane, żeby upewnić się, że nie mam racji. W ciągu paru ostatnich tygodni dotarły do mnie słuchy o kilku pacjentach w starszym wieku, mieszkających mniej więcej w tej samej okolicy, którzy byli zmuszeni wezwać lekarza. Ich krewni i znajomi twierdzą, że zgon nastąpił, zanim lekarz do nich dotarł lub w drodze do szpitala.

- Vicky, to jest część naszej pracy, wszystkie możliwe wypadki od narodzin aż do zgonów. Większość lekarzy, niestety, coraz częściej ma do czynienia ze śmiercią.

- Czy wszyscy twoi pacjenci w podeszłym wieku umierają na zawał? Który na dodatek spada na nich jak grom z jasnego nieba? - zaatakowała go. - Jak już powiedziałam, ostatnio dotarło do mnie kilka takich informacji. Proszę cię

0 pomoc w sprawdzeniu tego, ponieważ nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby zaszyły jakieś nieprawidłowości, a ja bym je zignorowała.

Obserwował ją w milczeniu.

- Czy już ktoś ci mówił, że cierpisz na przerost poczucia odpowiedzialności? - zapytał po chwili.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, po czym do pokoju wsunęła się zastępczyni Vicky.

- Przepraszam, że wam przeszkadzam. Wolałabym nie być świadkiem wybuchu trzeciej wojny światowej - zaczęła z szelmowskim uśmiechem - ale jest problem z kroplówką pani Olsen.

- Nie miałam pojęcia, że jesteśmy tacy głośni. - Vicky była zażenowana. - Co było słyhać na oddziale?

- Niewiele. - Pielęgniarka uśmiechnęła się do niej. - Tylko tyle, że doktor Faraday jest z czegoś bardzo niezadowolony. Kilku pacjentów było gotowych ruszyć ci na pomoc, gdyby dalej się ciebie tak czepiał. Cenią go jako lekarza, ale ciebie mają za cudotwórczynię.

- Czy mam położyć uszy po sobie i skamlać, cichcem się stąd wymknąć, czy mam robić dobrą minę do złej gry i towarzyszyć jej na oddział?

- Lepiej zrób dobrą minę - zdecydowała Vicky. - Będziesz bardziej atrakcyjny niż wtedy, gdy obnosisz się z marsowym obliczem.

Jego rumieniec sprawił jej sporą satysfakcję, mimo że pozwoliła sobie z niego zażartować jedynie dla rozładowania napiętej atmosfery. Po raz pierwszy czuła, że dostrzegł w niej równego sobie partnera.

Mogłaby wprawdzie czasami się nad nim ulitować, ale

też i on sam był sobie winien, ponieważ stworzył pewien jej obraz, nie starając się sprawdzić, czy na pewno jest prawdziwy.

Mówienie kobiecie, że wygląda młodziej niż to jest w rzeczywistości, przyjęło się uważać za komplement, ale Vicky nigdy nie przywiązywała wagi do swojego wyglądu. Zdaje się, że Francine miała rację, podejrzewając, że Joe przstraszył się jej młodego wieku.

Prawidłowe założenie kroplówki gadatliwej pacjentce nie trwało dłużej niż minutę, lecz Joe nie wyglądał na zadowolonego. Być może czuł na sobie krytyczne spojrzenia, bacznie go obserwujące w oczekiwaniu, że popełni jakiś błąd. Na oddziale pachniało linczem.

Dzięki wieloletniemu doświadczeniu doskonale wiedział, jak się zachować w obecności pacjenta. Śmiech pani Olsen, wrażliwej jak każda kobieta na pochlebstwa ze strony mężczyzn, wkrótce rozwiązał wszelkie wątpliwości.

Gdy znaleźli się na korytarzu, Vicky ciągle była skonfundowana burzliwym przebiegiem rozmowy, której nie zdążyli dokończyć.

- Idę do siebie. Sprawdzę to i owo - powiedział, zanim zdążyła otworzyć usta. - Wieczorem powiem ci, czego się dowiedziałem. Spotkamy się o ósmej?

- Z przyjemnością - odparła.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi windy i wysiadł z niej Grant Naismith.

- W co mam się ubrać? - zapytał niespodziewanie Joe, trzymając otwarte drzwi.

Stał w pozie, która skojarzyła się jej z posągami nagiego mężczyzny.

- Co masz na myśli? - Z trudem poskromiła wyobraźnię oraz nagły zew hormonów.

Czy Grant Naismith potrafi czytać w jej myślach? Spogląda na nią z wyraźną dezaprobatą.

- To był twój pomysł, więc uznałem, że ty o wszystkim decydujesz. Wydawało mi się, że umawiając się z kimś, informuje się go, dokąd pójdzie, aby miał szansę stosownie się przyodziać.

Uznała to za żart i swobodnym tonem wymieniła włoskie bistro, które polecały jej koleżanki. W skrytości ducha była wniebowzięta, ponieważ Joe nareszcie przyznał, że umawiają się na randkę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Co cię opętało, denerwował się Joe, nie mogąc zawiązać krawata. Jesteś podstarzałym wdowcem. Nie masz prawa z nikim się umawiać, nawet jeśli to ktoś taki jak Vicky wyszedł z taką inicjatywą.

Ktoś taki jak Vicky? Co ty sobie wyobrażasz?

Nie ma drugiej takiej osoby. Vicky jest niepowtarzalna, uparta jak osioł, niezdolna i czarująca.

Gdybyś zachował chociaż resztki przyzwoitości, trzymałbyś się od niej z daleka. Dobrze wiesz, że w twoim życiu nie ma miejsca dla kogoś tak radosnego. Taka wspaniała kobieta nie potrzebuje towarzysza z odzysku.

Więc dlaczego potraktowałaś jej propozycję jako wyzwanie? I od razu połknąłeś haczyk? Umówiłeś się na konkretną godzinę, w konkretnym miejscu, zamiast puścić ten pomysł mimo uszu!

Nie oszukuj się, że musicie się spotkać, aby omówić wyniki twojego śledztwa. To nie wymaga przytulnej atmosfery włoskiej knajpki. Do tego wystarczy kubek herbaty w pokoju lekarskim, tym bardziej że masz jej do przekazania wyłącznie niewinne informacje.

Może przyszła pora na odrobinę szczerości, pomyślał, spoglądając uważnie w lustro. Oby nie okazało się, że już jest na to za późno.

Vicky Lawrence zafascynowała cię od dnia, w którym podjęła pracę w ośrodku. Zdarzyło ci się to po raz pierwszy, odkąd poznałeś Celię, gdy oboje byliście jeszcze nastolatkami. Potem, jeszcze w trakcie studiów, zostaliście małżeństwem.

Tamtego dnia Vicky była wyraźnie skrępowana hucznym powitaniem, jakie zgotował jej brat, oraz lawiną pytań na temat jej zbliżającego się ślubu. Czytał właśnie najnowsze wydanie fachowego biuletynu. Gdy podniósł wzrok znad lektury, wydało mu się, że wraz z jej słodkim uśmiechem cały pokój utonął w słonecznym blasku.

Od tamtej pory robił wszystko, by nie zwracać na nią uwagi, lecz jego umysł nieustannie rejestrował różne drobiazgi na jej temat. Na przykład to, że na dyżurach zawsze miała włosy upięte w kok, albo wesołe iskierki w oczach, które igrały, ilekroć przekomarzała się z bratem.

Dzisiaj, gdy sprzeczała się z nim, jej oczy ciskały błyskawice. Potem, gdy stawiała mu czoło, nie zgadzając się z jego opinią, przechyliła głowę z takim wdziękiem, że miał ochotę porwać ją w ramiona i całować bez opamiętania, nie zważając na to, że ktoś może ich zobaczyć.

To szaleństwo. Nigdy nie odczuwał takiej pokusy, więc miał istotny powód do niepokoju. Nie może pozwolić, by po raz kolejny utracić kontrolę nad swoim życiem. Do tej pory jeszcze nie doszedł do siebie po tym, jak najego oczach przepadło wszystko, co kochał.

To wspomnienie powinno przywołać go do porządku. Nie wolno mu zapominać dnia pogrzebu Celi, W proch obróciły się wówczas również ich wspólne marzenia.

Jeśli będzie o tym pamiętał, spędzenie miłego wieczoru z Vicky nie sprawi mu najmniejszego kłopotu, tym bardziej

że będzie starał się rozwiązać jej potencjalnie groźne w skutki podejrzenia.

- Mów, czego się dowiedziałeś. - Vicky pochyliła się nad stołem, gdy kelner pozostawił ich samych. - Na pewno będziemy długo czekać, zanim cokolwiek nam przyniosą, więc nie masz żadnej wymówki.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Widziała go już w klasycznych garniturach, w stroju chirurga i w wytartych džinsach na wieczorku tanecznym. Teraz miał na sobie czarne sztruksowe spodnie oraz czarną koszulę i stalowoszary krawat. Wyglądał wręcz zabójczo.

Czy potrafi skoncentrować się na rozmowie, jeśli nie jest w stanie oderwać od niego wzroku?

- Pomyślałem, że zanim zaczniemy robić wokół tego szum, dobrze byłoby jeszcze trochę poczekać, aby się upewnić, że mamy rację - zaczął poważnym tonem.

Nie patrząc na nią, bawił się sztucjami, ona zaś wpatrywała się jak urzeczona w jego długie palce.

Postanowili zacząć kolację od pierwszego dania, lecz teraz Vicky żałowała, że nie zamówili żadnej przekąski, na której mogłaby się skupić.

- Jako pretekst wymyśliłem, że potrzebuję danych do referatu na temat działalności lekarzy na krótkoterminowych kontraktach na obszarach pozamiejskich w całym hrabstwie - tłumaczył. - Dziewczyny były tak chętne do pomocy, że aż zrobiło mi się głupio. Wyobraź sobie, że nawet przysłały mi faks z wykazem wszystkich lekarzy, którzy tu pracowali w zeszłym roku. Włącznie z ich nazwiskami oraz adresami, abym mógł się z nimi skontaktować, na wypadek gdybym chciał poznać ich doświadczenia i opinie.

- Co dalej? - zapytała.

Poczuła, że musi się odezwać, aby jej milczenie nie wydało się podejrzane. Bardzo chciała poznać wyniki tego dochodzenia, mimo że mocno się ich obawiała. Z jednej strony zbieranie informacji można uznać za wyśmienite ćwiczenie intelektualne, z drugiej jednak może się okazać, że wpadli na trop czegoś bardzo nieprzyjemnego.

Czuła też, że Joe coś ukrywa. Dlaczego nie patrzy jej w oczy? A może bawi się z nią w kotka i myszkę?

- Lekarze pracujący okresowo dzielą się na kilka grup. Tych, którzy przyjeżdżają do nowej miejscowości z całą rodziną, oraz lekarzy na emeryturze, których kontrakt przewiduje świadczenie usług medycznych na określonym obszarze, dzięki czemu nie muszą stale zmieniać miejsca zamieszkania. Jest też odrębna grupa tych, którzy nie mają nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu przemieszczać się w obrębie tego samego hrabstwa.

- Ilu takich lekarzy kierowało swoich pacjentów do szpitala w Denison Memoriał?

Jego wywód nieco ją rozproszył, ponieważ zaczęła się zastanawiać nad tym, jaki typ człowieka nie ma potrzeby posiadania stałego miejsca zamieszkania. Zamiast tego powinna uważnie analizować to, co mówił Joe.

- Tylko jeden. Twój znajomy... Grant Naismith.

- Czy mam przez to rozumieć, że to tylko jego pacjenci zmarli w drodze do szpitala?

Nie kryła zdumienia. Doznała niemałego szoku, gdy Joe przytaknął. Trzeba się skoncentrować, nie wolno tracić wątku.

- I co ty na to? - rzuciła, zła na samą siebie.

- Widzę, że nie słuchałaś dzisiaj naszych wieczornych

lokalnych wiadomości - ciągnął tonem telewizyjnego prezentera. - Zaniepokojony dużą zachorowalnością wśród mieszkańców Edenthwaite oraz okolic doktor Grant Naismith, który pracuje w naszym miasteczku, na własną rękę zajął się poszukiwaniami, aby w końcu wykryć zanieczyszczone źródło wody, które pośrednio stało się przyczyną licznych zgonów wśród osób w podeszłym wieku.

- On? Grant? - Ucieszyła się, że dręczący ją problem znalazł takie proste i konkretne rozwiązanie. Po chwili jednak popatrzyła Joemu w twarz. - Ty draniu! - krzyknęła. - Zakpiłeś sobie ze mnie! Uważasz, że jestem taka głupia, że mogłam nabrać podejrzenia...

- Nie, Vicky, wcale nie jesteś głupia. - Aby ją uspokoić, przykrył ręką jej dłoń. - Wcale tak nie uważam, tym bardziej że twoje domysły miały wszelkie podstawy, aby okazać się uzasadnione. Wykazałaś ogromną czujność, zwracając uwagę na bardzo podejrzany zbieg okoliczności. Tak się ucieszyłem, że zgony te nastąpiły z przyczyn naturalnych, a nie za sprawą jakiegoś mojego podłego kolegi po fachu, że nie mogłem odmówić sobie takiej niewinnej uszczypliwości. Wybaczysz mi?

- Zastanowię się - mruknęła.

Dobrze wiedziała, że wybaczy mu wszystko.

Przerwali rozmowę, ponieważ przyszedł kelner z zamówionymi potrawami. Przez jakiś czas w milczeniu delektowali się smakowitym włoskim makaronem z wyśmienitym aromatycznym sosem i najprzeróżniejszymi dodatkami.

Joe skończył, gdy ona miała na talerzu jeszcze co najmniej pół porcji. Zauważyła jego łakome spojrzenia.

- Możesz się przyłączyć - zaprosiła go z uśmiechem,

przesuwając talerz bliżej niego. - Nie dam rady zjeść wszystkiego, chociaż takie pyszne.

- Mogę? Na pewno? - Rażno chwycił za widelec. - Czy to znaczy, że mi wybaczyłaś?

- Jeszcze nie wiem.

Było coś bardzo intymnego w jedzeniu z jednego talerza, we wspólnym poszukiwaniu i wyławianiu najsmakowitszych kawałków owoców morza. Vicky zdała sobie wówczas sprawę z tego, że gdy była narzeczoną Nicka, o niczym takim nawet się jej nie śniło.

Sytuacja się odwróciła, gdy przyszła pora na deser. Vicky była zbyt najedzona, by choćby pomyśleć o czymś słodkim, lecz gdy przed Joem stanęły kuszące słodkości, bezwiednie sięgnęła po widelczyk.

- Mogę spróbować? Tylko troszkę - poprosiła, nie mogąc oprzeć się żądzy skosztowania cierpkiej słodyczy truskawek w czekoladzie.

Ku jej zaskoczeniu Joe ruchem wytrawnego szermierza odepchnął jej widelczyk.

Jego wojownicze spojrzenie sprawiło, że jeszcze bardziej zapragnęła wykraść mu cząstkę deseru.

Dzielnie odpierał wszystkie jej ataki. W końcu, gdy ze śmiechu rozbolał ją brzuch, podał jej wymarzoną zdobycz na swoim widelczyku. Aby w ostatniej chwili się nie rozmyślił, chwyciła go mocno za nadgarstek i z otwartą buzią pochyliła nad truskawką.

Już miała zamknąć usta, gdy podniósłszy na niego wzrok, zobaczyła w jego spojrzeniu coś, co nie mogło budzić żadnych wątpliwości. Pociemniałymi oczami wpatrywał się w nią tak intensywnie, że pomimo braku doświad-

czenia bez najmniejszego trudu wyczytała w nich pożądanie.

Zamknęła usta na swojej zdobyczy i odsunęła się.

Bała się pogryźć truskawkę, ponieważ zdawało się jej, że Joe tylko na to czeka. Dlaczego tak się w nią wpatruje? Zrozumiała wszystko, gdy nagle jej własne ciało zareagoowało gwałtownie, kiedy Joe pozornie bardzo dyskretnie samym czubkiem języka oblizał wargi.

Zupełnie niespodziewanie truskawki i czekolada przestały ją interesować, pochłonęła ją natomiast myśl, jak smakują usta Joego. Słodyczą truskawek? Goryczą czekolady? Czy nadarzy się jej okazja to sprawdzić?

Była niemal pewna, że usłyszała stłumiony jęk, gdy odwracał od niej spojrzenie. Co dziwniejsze, zupełnie zapomniał o deserze.

Nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Było to niemożliwe, ponieważ myślała tylko o tym, że on pożąda jej tak samo, jak ona jego. Jeśli tak jest, to może nadeszła pora, by zadać mu pytania, które dręczą ją od samego początku?

Odezwał się, zanim pozbierała myśli.

- Już nie opamiętam, kiedy spędziłem tak miły wieczór - wyznał, zniżając głos.

Wpatrywał się w obrus. Ona tymczasem pomimo półmroku, jaki panował na sali, zauważyła, że Joe zaczerwienił się po czubki uszu.

- Chyba zdażyłaś się zorientować, że nie mam wielkiego doświadczenia w tych sprawach... W podejmowaniu kobiet - pospieszył z wyjaśnieniem.

- Niczego takiego nie zauważyłam, bo rzadko zdarzają mi się takie atrakcje - przyznała bez skrępowania.

Jednocześnie czuła, że jej serce szaleje z radości, ponieważ wywnioskowała, że Joe nareszcie dostrzegł w niej dojrzałą kobietę.

- Od śmierci Celi pogodziłem się z rolą wdowca. Ale tobie udało się wywabić starego niedźwiedzia z gawry i trochę go rozruszać.

- Wcale nie jesteś starym niedźwiedziem - odparła z uśmiechem.

Francine miała rację. Gdy śmiał się i przekomarzał z nią, wyglądał o wiele młodziej.

- Dla ciebie jestem na pewno za stary - upierał się z całą powagą.

Jego wcześniejsza fascynacja jej ustami rozpułnęła się, jakby była wyłącznie wytworem jej wybujałej wyobraźni.

- Dlaczego tak uważasz? - nalegała.

Zdawała sobie sprawę, że być może właśnie od tej rozmowy zależy cała jej przyszłość.

- Między nami jest jedenaście lat różnicy - oznajmił kategorycznym tonem, jakby to był koronny argument.

- To nie ma nic do rzeczy. Czy Francine i Andy nie wyglądają na szczęśliwych?

- Francine i Andy? - O tym nie pomyślał.

- Między nimi jest jeszcze większa różnica wieku niż między nami - tłumaczyła cierpliwie. - Nie wydaje mi się, żeby im to w czymkolwiek przeszkadzało.

Miała ochotę przytoczyć więcej przykładów, ale widząc jego zamyślane oblicze, uznała, że trzeba dać mu czas na przetrwanie tej wstrząsającej informacji.

Od tej pory, aż do chwili, gdy znaleźli się przed jej domem, rozmawiali wyłącznie na neutralne tematy, mimo że

Vicky przez cały czas czuła, że zbiera w niej coraz to większe oczekiwanie.

- Wejdiesz na kawę? - zaproponowała z nadzieją w głosie, lecz on odmówił.

Była rozczarowana, ponieważ miała nadzieję, że ten wieczór zakończy się zupełnie inaczej.

- Vicky... - szepnął.

W tej samej chwili tuż przed sobą ujrzała jego twarz, a na ramionach poczuła jego dłonie. Pomyliłam się, pomyślała w ostatniej chwili. Nie smakował truskawkami ani Jolem Faradayem, lecz upajającą mieszanką obu smaków. Miała ochotę krzyknąć, gdy chwilę później delikatnie odsunął ją od siebie.

- Nie patrz tak na mnie - szepnął, przeciągając palcami po włosach. Nie miała zielonego pojęcia, dlaczego jest wyraźnie z siebie niezadowolony. - Przykro mi, ale...

- Mnie wcale nie jest przykro - oświadczyła. Uznała bowiem, że jak najszybciej trzeba wszystko sobie wyjaśnić.

- Nie jest mi ani trochę przykro, ponieważ od samego początku było wiadomo, jak się ten wieczór skończy.

- Jak to? - Nie ukrywał oburzenia. - Myślisz, że zaprosiłem cię po to, żeby po tym, jak cię odwiozę do domu, zacząć się do ciebie przystawiać?

- Nie. Wręcz przeciwnie. Odnoszę wrażenie, że pomimo pewnych trudnych tematów, które dzisiaj poruszyliśmy, oboje możemy uznać ten wieczór za bardzo udany. W ten sposób potwierdziło się to, co odkryliśmy już jakiś czas temu: że bardzo się lubimy. Nie sądzisz, że byłoby to całkiem naturalne, gdybyśmy chcieli sprawdzić, jak bardzo się lubimy? Uważam, że popełniłeś tylko jeden błąd.

- Jaki?

Zaciekawiło go to, chociaż nie był do końca pewny, czy powinien ten zarzut potraktować poważnie. Dobrze, że znowu nie zaczął jej przeproszać. Na razie jednak szukała odpowiednich słów oraz zbierała się na odwagę, by z tej rozmowy wywieść jedyną logiczną konkluzję. Jak przyznała się jeszcze w restauracji, nie miała w tej dziedzinie prawie żadnego doświadczenia. Wzięła głęboki oddech.

- Całując mnie, nie czekasz na moją reakcję - szepnęła, jednocześnie wsuwając dłoń na jego kark. - Gdybyś zaczęła chwilę dłużej, dowiedziałbyś się, że nie musisz mnie za nic przeproszać.

Ledwie wyszeptała ostatnie słowa, Joe zamknął jej usta namiętym pocałunkiem.

Podniecona i uśmiechnięta układała się do snu. Nie chciała, by Joe odjeżdżał. Zdecydowanie wolałaby, aby został u niej. Zamknęłaby wtedy dom na cztery spusty, aby odgrodzić się od całego świata.

Niestety, Joe wykazał się większą siłą woli niż ona.

W końcu, gdy omdlewała w jego ramionach, pojął, że oboje czują to samo.

Nie było jej dane cieszyć się nim długo: odczekał, aż otworzy drzwi i wejdzie do domu, po czym odjechał.

- Do jutra - szepnęła. Przelotny grymas na jego twarzy podpowiedział jej, że zapewne pomyślał o bolesnej przeszłości. - Są pewne sprawy, o których musimy poważnie porozmawiać, ale dzisiaj jest na to za późno. Jutro oboje mamy dyżur. Nie zapomnij o zamknięciu wszystkich zamków.

Była zbyt podniecona, by zasnąć. Wspominała cały wieczór, minuta po minucie, kolejne gesty, niczym nastolatka zakochana w filmowym gwiazdorze.

Zadzwonił telefon. Po omacku sięgnęła po słuchawkę. Czy Joe też nie może spać?

- Dziwka! - Znieruchomiła, słysząc pełne jadu wyzwisko.
- Widziałem was. Wsadzaliście sobie języki do samego gardła. Nie jesteście lepsi od bydła. Skoro tak się zachowujesz...

Rozdygotaną dłonią odłożyła słuchawkę. Ledwo trafiła na widełki. Co robić?

Wstrząsnęła nią świadomość, że ten psychopata ma jej nowy numer, ale jeszcze bardziej się przeraziła, uprzytomniwszy sobie, że jeszcze przed chwilą obserwował ją z niewielkiej odległości.

Czy on nadal tam jest? Czy to, że przed czasem przerwała ten potok gróźb, może go rozwścieczyć do tego stopnia, że postanowi wtargnąć do jej domu?

Złapała za słuchawkę, by natychmiast zadzwonić do Joe-go, ale jego numer nagle wyleciał jej z pamięci.

- Zastanów się. Skup się i pomyśl. Musisz do kogoś zadzwonić.

Nie chciała telefonować na policję. Do tego, by złożyć oświadczenie, że ktoś obrzucił ją przez telefon niewybrednym wyzwiskiem, niepotrzebne jest przeraźliwe wycie syren i migające światła.

Nagle przypomniała sobie o policjantce noszącej włoskie nazwisko. Dostała od niej numer telefonu, aktualny przez całą dobę. Ma go w torebce. Tam, gdzie jest wizytówka Joego, z numerem jego komórki napisanym ręcznie na odwrocie!

- Joe... Bogu dzięki za to, że cię zastałam. Mówi Vicky. Zadzwoił przed chwilą. Podglądał nas. Widział, jak... Powiedział, że zachowujemy się jak zwierzęta. Groził...

- Dosyć! - Dopiero teraz zorientowała się, że już wcześniej chciał jej przerwać. - Już do ciebie jadę. Upewniłaś się, że wszystkie okna i drzwi są dobrze zamknięte?

- Tak. Wszystkie.

W duchu dziękowała Bogu, że za radą policji natychmiast wszędzie kazała zamontować dodatkowe zabezpieczenia.

- Nie zapalaj światła, żeby nie widział, dokąd idziesz. Schowaj się w jakimś bezpiecznym miejscu, tam, gdzie nikomu nawet nie przysłoby do głowy zaglądać. Nie ruszaj się stamtąd, dopóki nie przyjadę. I nie odzywaj się, cokolwiek byś słyszała. Rozumiesz?

Posłusznie skinęła głową, lecz w porę się zorientowała, że on nie może tego widzieć.

- Tak - wychrypiała. - Błagam, pospiesz się.

Kolana uginały się pod nią, gdy wstała, by włożyć szlafrok. Dobrze, że jest taki ciepły, a na dodatek granatowy, więc nie będzie jej widać w ciemnościach.

Gdy boso zbiegała ze schodów, usłyszała, że ktoś dobija się do frontowych drzwi. Serce biło jej tak szybko, że poczuła mdłości. Miała pełną świadomość, że najsłabsze są szyby w drzwiach kuchennych, ponieważ jeszcze nie zdążyła zamówić do nich szyb ze zbrojonego szkła. Intruz jednak będzie musiał najpierw powymować kawałki szkła, żeby się poważnie nie pokaleczyć.

Gdzie można się ukryć w takim małym domku?

- Zastanów się, dziewczyno...

Gdy stała pośrodku miniaturowego salonu, rozpaczliwie rozglądając się za stosowną kryjówką, słyszała, jak jej prześladowca dobija się do kolejnych okien.

Wszystkie szafy są pełne, więc jeśli coś z nich wyjmie, aby tam się schować, zdradzi ją podejrzana sterta rzeczy leżących luzem. Pod schodami też nie ma miejsca.

- Tu nie ma żadnej kryjówki - jęknęła, coraz bardziej przerażona.

Tkwiła bezradnie w rogu pokoju, gdy dobiegł ją dźwięk szyby wybijanej w kuchni. W tej samej chwili przyszło jej do głowy idealne miejsce... jedyna możliwa kryjówka.

Zdażyła jeszcze w niej przykucnąć i nakryć jasne włosy płaszczem kąpielowym.

- Joe, pospiesz się. Błagam. Potrzebuję cię.

Serce biło jej jak zaszczutej zwierzynie. Bała się wręcz, że słyhać to w całym domu. Przez ten, wydawałoby się, łoskot usłyszała, że intruz w końcu uporał się z kuchennym oknem i wszedł do środka.

- Victoria... - Mrożący krew w żyłach szept rozległ się znacznie bliżej niż z kuchni. Włamywacz zapewne stoi w korytarzu, tuż przy drzwiach do salonu.

Wstrzymała oddech, by nie zorientował się, gdzie jest jej kryjówka. Modliła się też, żeby poszedł na górę, lecz nagle oślepiające światło zalało cały salon.

Zacisnęła mocniej powieki. Starła się nie myśleć, co się stanie, gdy ten człowiek ją znajdzie. Skupiła się na mężczyźnie, który spieszy jej z pomocą. Na mężczyźnie, którego kocha.

- Victoria... - Znowu ten śpiewny akcent, który prześladowuje ją od tygodni. Sekundę później do jej uszu dobiegł

wyraźniejszy głos, dziwnie znany. - Nie chowaj się, bo należysz do mnie. Zawsze byłaś moja.

Skuliła się przerażona. Nie powinna się ruszać, dopóki ten maniak nie wyjdzie z tego pokoju, ale czuła, że musi zobaczyć swego prześladowcę. Ostrożnie odwróciła głowę, tylko na tyle, by spod szlafroka zerknąć na postać, która stała akurat na środku pokoju.

Gdy rozpoznała Granta Naismitha, ledwie zdławiła okrzyk zdumienia. Ten człowiek jest lekarzem! Na dodatek bardzo dobrym, jeśli wierzyć temu, czego niedawno się o nim dowiedziała. Na pewno niewielu takich kontraktowych lekarzy poświęca swój czas szukaniu przyczyn podwyższonej śmiertelności wśród pacjentów.

Dlaczego ją prześladowuje? Nawet nie pamiętała jego twarzy, dopóki nie przypomniał jej, że pracowali w tym samym szpitalu, zanim przeniosła się do Edenthwaite.

- Po to tu przyszedłem. - Zorientowała się, że podniósł głos, aby słyszała go ze swojej kryjówki, gdziekolwiek by to miało być. - Kiedy zerwałaś zaręczyny z Johnsonem, zrozumiałem, że jest to znak, że nareszcie poznałaś prawdę. Ze nie możesz za niego wyjść, ponieważ należysz tylko do mnie.

Rozległ się ogłuszający huk, a ona zaczęła zastanawiać się, która jej ukochana pamiątka z dzieciństwa padła ofiarą maniaka.

- Miałaś na mnie czekać! - krzyknął znenacka. Tym razem roztrzaskał coś znacznie cięższego. - I nie pozwalają Faradayowi dotykać się, ponieważ dobrze wiesz, że jesteś moja. Moja!

Zanim usłyszała, że wyszedł z pokoju, ze strachu oraz

braku powietrza zaczęło jej się kręcić w głowie. Odetchnęła głębiej, dopiero gdy ruszył na górę.

Nasłuchując łomotu i przekleństw dobiegających z piętra, domyśliła się, że wpadł w szal, nie mogąc jej znaleźć. Także w jego głosie słychać było narastające rozdrażnienie.

Gdzie jest Joe? Dlaczego tak długo go nie ma?

Nagle przeraziła się, że już nigdy go nie ujrzy, nie pozna rozkoszy razem spędzonej nocy, podczas której odda mu swoje ciało i serce. To, że od dłuższego czasu chodzą wokół siebie na paluszkach, wydaje się w tych okolicznościach bezsensowną stratą czasu, zwłaszcza że być może za chwilę urwie się linia jej życia.

Grant schodził na dół. Coraz bardziej wściekły, demolował jeden pokój po drugim.

Była bliska histerycznego płaczu i aby do tego nie dopuścić, zmusiła się do myślenia o czym innym.

Dlaczego przez tyle lat nie zorientowała się, co w jej życiu jest najważniejsze? Dlaczego wierzyła, że perspektywa macierzyństwa jest jej priorytetem, a nie głębokie uczucie do Joego oraz jego obecność? Szkoda, że nie można wrócić do dnia, w którym powiedział jej, że nie interesuje go zakładanie nowej rodziny. No cóż, czasu jednak nie można cofnąć. Gdy minie, nie da się go odzyskać.

Jej czas gwałtownie się skurczył do odległości, jaką musi pokonać szaleniec, który wrócił już do salonu, by ją znaleźć i wywlec na środek pokoju. Poprzesuwał już i poprzewracał wszystkie meble. Czuła, że stoi od niej na wyciągnięcie ręki. Bez trudu mógłby ją teraz dosięgnąć. W tej samej chwili cały dom wypełnił się istic piekielnym wyciem policyjnej syreny.

Hałas był tak ogłuszający, jakby pod jej skromny domek zajechało kilkanaście samochodów na sygnale.

Nie ruszaj się-z miejsca, niezależnie od tego, co usłyszysz, powiedział Joe. Wobec tego siedziała jak mysz pod miotłą, gdy męski głos przez megafon wzywał Granta Naismitha do oddania się w ręce policji.

Nie miała pojęcia, czy policjanci słyszą jego przekleństwa i wyzwiska, sama natomiast doskonale słyszała, jak czynił ostatnie, chaotyczne wysiłki, by znaleźć jej kryjówkę.

Zaczęła się modlić o to, by nie zrobił z niej zakładniczki, aby wymknąć się z rąk sprawiedliwości. Tylko nie teraz, kiedy chciałyby podzielić się z Joem swoim postanowieniem i zgodnie z nim postąpić.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jeszcze nie wie o nim wszystkiego. Sam przecież powiedział, nawet tego wieczoru, że muszą poważnie porozmawiać. Ona też ma kilka tajemnic, ale on na pewno nie będzie miał z nimi większego problemu. Tok jej myśli zaburzył nagle potworny hałas za oknem salonu, po czym we wszystkich kierunkach posypały się odłamki szkła. Drobne kawałeczki spadały nawet tam, gdzie się skuliła.

Rozległo się złowieszcze syczenie, a po chwili do jej nozdrzy doszedł charakterystyczny, nieprzyjemny zapach. Natychmiast zaczęły ją piec oczy, poczuła też drapanie w gardle. Gdy Grant zaklął i zaczął kasłać, dotarło do niej, że policja posłużyła się gazem łzawiącym, aby go obezwładnić.

Jeśli zamknie oczy i zasłoni twarz szlafrokiem, ma szansę przetrwać w lepszym stanie, przynajmniej dopóki człowiek, który chciał zniszczyć jej życie, nie zostanie schwytany.

Dochodziły do niej różne odgłosy, na które nie zwracała większej uwagi, starając się oddychać jak najrzadziej i jak najpóźniej. Lepiej by jej nie znalazł w ostatniej chwili, gdy wybawienie jest tak blisko.

- Victorio Lawrence! - Męski głos wzywał ją przez megafon. Chwilę później usłyszała drugi głos.

- Vicky! - zawołał Joe. Serce podskoczyło jej z radości.
- Możesz już wyjść.

Ale ona nie mogła się podnieść. Tkwiła w tej samej pozycji tak długo, że ścierpły jej nogi, i pomimo puszystego szlafroka była zziębnięta do szpiku kości.

- Vicky, skarbie, słyszysz mnie? - wołał Joe.

Chociaż jego głos był stłumiony, poznała bez trudu, że znajdował się już w salonie.

- Tutaj jestem...

Nie miała pewności, czy ją usłyszał, ponieważ przez cały czas zasłaniała usta brzegiem szlafroka.

Popchnęła niezdarnie, zaledwie o kilka centymetrów, ciężki wiklinowy kosz z drewnem ustawiony pośrodku kamiennego paleniska kominka. To jednak w zupełności wystarczyło, by Joe zorientował się, gdzie się ukryła.

Błyskawicznie był przy niej i już pomagał jej wygrabić się z kominka. Porwał ją w ramiona.

- Och, Joe! - zaczęła, lecz zaniosła się kaszlem z powodu resztek gazu, które ciągle wisiały w powietrzu.

- Już cię stąd zabieram - oświadczył spod pożyczonej maski, biorąc ją na ręce. - Tutaj jest pełno szkła. Poza tym potrzebujesz świeżego powietrza.

- Proszę przynieść ją tutaj - zawołał ktoś w mroku. - Musimy ją zbadać.

- Nie ma potrzeby - odparł, delikatnie stawiając ją na ziemi. Ściągnął maskę, której użyczyli mu policjanci, by mógł wejść po nią do domu. Nie odrywał wzroku od jej twarzy. Patrzył na nią tak, jakby się bał, że zniknie, jeśli nie będzie jej trzymał. - Sam się nią zajmę.

- Joe - szepnęła.

W tej samej chwili kątem oka dostrzegła postać mężczyzny w kajdankach, który szamotał się z policjantem prowadzącym go do samochodu.

Gdy policjant położył mu rękę na głowie, aby podczas wsiadania nie uderzył nią w ramę drzwi, mężczyzna odwrócił się, by obrzucić ich nienawistnym spojrzeniem i wrzasnąć pod adresem Joego:

- Zostaw ją! Ona jest moja!

Joe ponownie wziął ją na ręce i mijając kolejne ekipy ratownicze, niósł do swojego samochodu.

- Jedno słówko, doktorze - zawołał ktoś za ich plecami, ale Joe nawet nie zwolnił kroku.

- Jutro - rzucił przez ramię i tylko mocniej ją do siebie przytulił.

- Jedną chwilkę... - Między Joem a jego samochodem jak spod ziemi wyrósł policjant. - Właśnie otrzymałem przez radio ciekawą informację. Gdy poznaliśmy tożsamość tego człowieka, oddelegowaliśmy policjanta, aby dokonał w jego domu przeszukania. Znalazł mnóstwo zdjęć. Niektóre zapewne są starsze, ale większość została zrobiona podczas weselnego przyjęcia doktora Nicka Johnsona.

- Fotograf! - wykrzyknęła Vicky, przypomniawszy sobie tego natręta. Dlaczego nie rozpoznała go wcześniej? Może była bardziej zajęta czym innym? Może też i dlatego,

że w jej oczach był tylko prześladowcą, który poza tym nic dla niej nie znaczył.

- Już wtedy wydawał mi się mocno podejrzany. Za bardzo się tobą interesował - mruknął Joe.

Ciekawe, pomyślała, czy Joe zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo zaborczo zabrzmiało to oświadczenie.

- Chcielibyśmy spisać protokół, zanim państwo odjadą - poprosił policjant. - To nie potrwa długo.

- Dostaniecie swoje zeznania jutro rano - odparł Joe tonem nie znoszącym sprzeciwu. Wyminął policjanta i ruszył do auta, po czym zwrócił się tylko do Vicky: - My sami musimy przedtem złożyć kilka zeznań. Tym razem nie będziemy odkładać tego na później.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pomimo włączonego ogrzewania Vicky nadal trzęsła się z zimna, gdy Joe podjechał pod tylne wejście w swoim domu.

- Drzwi są otwarte - zauważyła, zaskoczona snopem światła wylewającego się na dwór.

- Moja wina. Za bardzo się spieszyłem. Miałem ważniejsze sprawy na głowie, żeby pamiętać o takich drobiazgach.

Zadrżała. W tych paru słowach ujął grozę ostatnich... Ile to trwało? Trzydzieści minut? Godzinę? Nie miała pojęcia, ponieważ czas przestał mieć znaczenie, gdy skulona siedziała w zasmolonej kryjówce, czekając na wybawienie.

- Trzęsiesz się z zimna.

Pospieszył, by otworzyć jej drzwi samochodu. Nie protestowała, była wręcz wdzięczna, gdy brał ją na ręce. Ciepłe, mocne ramiona zaniósł ją do jasno oświetlonej kuchni. Tym razem już bardzo starannie sprawdził wszystkie zamki w drzwiach.

Wahał się przez chwilę, oceniając, na ile to było możliwe, profesjonalnym okiem jej stan, po czym energicznym krokiem ruszył z kuchni.

- Potrzebna ci gorąca kąpiel - zawyrokował.

Vicky natomiast roześmiała się.

- Jest ze mną aż tak źle? - Wyobraziła sobie, jak wygląda, spędziwszy tyle czasu w czarnej czeluści kominka, za koszem z drewnem.

Jęknął cicho, pomagając jej wstać. Dopiero wtedy przypomniała sobie o jego kontuzjowanym ramieniu.

- Nie powinienesz być nosić mnie na rękach - zwróciła mu uwagę. Miała wyrzuty sumienia, że za ten opiekuńczy odruch przyjdzie mu zapłacić odnowieniem dopiero co zaleczonego urazu.

- Tak, wiem. - Zniżył głos. - Ale nie mogłem inaczej. Musiałem mieć pewność, że jesteś cała i zdrowa. Ze jesteś już bezpieczna.

Chciała coś powiedzieć, ale umilkła, widząc w jego oczach bezgraniczną udrękę. Jak mogła w najcięższej chwili zwątpić w szczęśliwe zakończenie tej dramatycznej przygody, skoro on tak bardzo się o nią martwił? Wystarczyło popatrzeć, jak bardzo był szczęśliwy, że już nic jej nie grozi.

Gdy pomyślała, że za moment pochyli się, by ją pocałować, on odsunął się nieco i zaczął odkręcać krany i regulować temperaturę wody, aż w końcu włączył prysznic.

- Tam jest szampon i mydło. - Wskazał dłonią brzeg wanny. - A tu, na ogrzewanym wieszaku, pełno ręczników - poinstruował ją. - Przez ten czas poszukam dla ciebie czegoś do ubrania.

- Joe... - szepnęła, gdy już się odwrócił, by wyjść z łazienki. Zatrzymał się w miejscu. - Nie wychodź. - Podeszła bliżej i całym ciałem przyłgnęła do niego.

Teraz, gdy podjęła ostateczną decyzję, zastanawiała się, co było w tym takiego trudnego. Joe jest przecież drugą połową jej duszy, niezależnie od tego, czy kiedykolwiek bę-

dą mieli dzieci, czy nie. W obliczu tego, co przeżyła w ciągu paru minionych godzin, nawet sankcjonowanie tego związku formalnym ślubem wydało się jej nieistotne.

- Niczego się nie bój. - Odwrócił się do niej i ujął jej zziębnięte dłonie w swoje ciepłe ręce. - Grant Naismith przez dłuższy czas będzie oglądał świat wyłącznie przez kraty więziennej celi.

- Nie boję się Naismitha - zapewniła go, spoglądając głęboko w jego złoto-zielonkawe oczy. - Chcę, żebyś był blisko, aby mieć pewność, że cienie stracę. Czy... wejdiesz ze mną pod prysznic?

Przyglądał się jej bacznie, wyglądając na zaskoczonego, lecz po chwili jego oczy wyraźnie pociemniały.

- Vicky, tak nie można. Nie byłbym w stanie kapać się z tobą i nie chcieć... Mieliśmy omówić pewne sprawy, zanim...

Uciszyła go, kładąc mu palec na wargach.

- Pamiętam, że mamy sobie sporo do powiedzenia, różne tajemnice do wyjaśnienia, ale nie to jest w tej chwili ważne. Możemy przecież porozmawiać o tym później.

Drżącymi palcami, mocno zdenerwowana, zaczęła rozwiązywać pasek szlafroka. Nigdy jeszcze nie odważyła się na coś takiego. Nigdy nie rozbierała się na oczach mężczyzny. W głębi serca jednak wiedziała, że wyjdzie im to obojgu na dobre.

- Vicky... - jęknął, gdy gruba tkanina zsunęła się z jej ramion, opadając na podłogę.

Bawełniany podkoszulek, kilka rozmiarów na nią za duży, rozciągnięty i sprany przez lata używania żałośnie zwisał jej z jednego ramienia. Mimo to, sądząc po jego zachłannym

spojrzeniu, jemu jawił się niczym szata z najdroższego jedwabiu. Widziała, z jakim trudem oderwał wzrok od tej partii jej dziewczęcego ciała, która zdradzała jej podniecenie. Gdy zajrzała mu prosto w oczy, upewniła się nareszcie, że czas oczekiwania dobiegł końca.

- Pomogę ci - zaproponowała, sięgając do guzików czarnej koszuli, która poprzedniego wieczoru zrobiła na niej takie wrażenie, po czym zerknęła na niego zalotnie. - Powinieneś oszczędzać rękę. Przyda ci się później.

- Rękę? Jaką rękę? - odparował, sięgając po brzeg podkoszulka. Jednym wprawnym gestem ściągnął go jej przez głowę. - Och, Vicky - szepnął, po raz pierwszy widząc ją nagą.

Pohamowała chęć zasłonięcia się i dumnie się wyprostowała. O tym, jak w tej postawie prezentowały się jej piersi, dowiedziała się, gdy Joe z zachwytem wyciągnął ku nim dłonie. Cofnął je w ostatniej chwili.

- Pysznic - oświadczył stanowczym tonem, nie dotykając jej, czym sprawił jej ogromny zawód.

- Pysznic we dwoje - uzupełniła i pewnie sięgnęła do paska jego spodni.

Rozbieranie Joego wspólnymi siłami zajęło więcej czasu niż normalnie, lecz w końcu oboje stanęli pod strumieniami rozkosznie gorącej wody. Vicky od tak dawna marzyła, by pieścić jego ciało, że gdy w końcu przyszła ta chwila, poczuła się onieśmielona.

Ostatecznie zwyciężyła zachłanność, która kazała jej wziąć mydło do ręki i namydlić jego muskularny tors, zachłanność, której nie mogła zaspokoić, dopóki nie dotknęła każdego centymetra jego ciała. Nawet wtedy nie potrafiła

wyobrazić sobie, by mógł nadejść taki dzień, w którym nie chciałyby go dotykać, kochać, posiadać.

- Wystarczy - szepnął, gdy jej dłonie zaczęły podążać za strużką piany spływającej poniżej pępka. - Teraz moja kolej.

- Pieścił ją i kusił, aż zaczęła płonąć z niecierpliwości.

- Proszę, proszę cię, Joe. - Całowała jego twarz, gładziła pierś. Niezupełnie wiedziała, o co prosi, lecz jej ciało domagało się natychmiastowego spełnienia tej tajemniczej potrzeby.

On chyba także zaczynał tracić cierpliwość, ponieważ zakręcił krany i wychylił się z kabiny, by sięgnąć po ręczniki. Vicky po raz pierwszy ujrzała jego nagie ciało w całej okazałości i uznała, że ręczniki będą jedynie zbędnym rekwizytem.

- Proszę cię, Joe... - Wyszła z kabiny i nie zważając na puszyste tkaniny, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Proszę cię. - Tym razem jej prośbę stłumił pocałunek.

Joe odwzajemniał jej pocałunki z rosnącym zapałem, lecz po chwili oderwał od niej wargi i oparł czoło o jej czoło, przytulając obie jej dłonie do swojej piersi.

- Jesteś tego pewna? - zapytał gorączkowo.

Z trudem łykał powietrze, jakby dopiero co skończył bieg maratoński. Vicky czuła pod palcami, że także jego serce bije jak szalone.

- Tak - odparła żarliwie, ujmując jego twarz w dłonie. - Jeszcze nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna, jak tego, że cię pragnę.

Uwierzył jej i poprowadził ją do sypialni, gdzie ich oczom ukazało się nie posłane łóżko, z którego wyskoczył, by pędzić jej na ratunek.

- Wypadałoby je posłać. - Był wyraźnie skrępowany, co bardzo jej pomogło, ponieważ dzięki temu uświadomiła sobie, że nie tylko ona się denerwuje.

- Nie warto - pocieszyła go, zarzucając mu ramiona na szyję. - Przecież zaraz znowu będzie wyglądało równie nieporządnie.

Roześmiał się i znowu ją pocałował.

- Rozsądna z ciebie kobieta - szepnął jej do ucha, gdy oboje znaleźli się pod kołdrą.

Syknął z bólu, gdy próbował oprzeć się nad nią na łokciach.

- Znowu nadwerżyłeś sobie ramię. Przez to, że uparłeś się nosić mnie na rękach. - Przewróciła go w pościel, by zbadać bolący staw.

Przez chwilę znosił cierpliwie jej zabiegi.

- Inne części ciała będą ci znacznie bardziej wdzięczne za taką troskliwość - zasugerował głosem nabrzmiałym z pożądania. Podciągnął ją, by na nim usiadła.

Zerknęła na niego speszona. Nie miała w tej dziedzinie absolutnie żadnego doświadczenia i nie tak oczami duszy widziała tę scenę. Nie znaczyło to jednak, że wyklucza wszelkie eksperymenty.

Okazało się, że ten akurat eksperyment ma o wiele przyjemniejszy przebieg, niż sobie to wyobrażała, aż do chwili, gdy po raz pierwszy ich ciała się złączyły. Wyrwał się jej wówczas cichy okrzyk zdziwienia.

- Vicky! - Ujął ją w talii, by znieruchomiła. - Jesteś dziewczicą?

- Już nie - parsknęła radosnym śmiechem, który zabrzmiał nieco dziwnie w tej męskiej sypialni. Zrobiła kilka

próbnych ruchów, a gdy usłyszała jego stłumiony jęk zadowolenia, osunęła się nieco niżej, z zachwytem odkrywając to cudowne, absolutnie słuszne uczucie towarzyszące takiemu zespoleniu z tym mężczyzną. - Pomóż mi - szepnęła, ponieważ zrozumiała, że nie ma pojęcia, w jaki sposób może sprawić mu przyjemność. - Naucz mnie.

- Czego mam cię nauczyć? - Pożerał ją wzrokiem.

- Wszystkiego - odparła z prostotą. - Wszystkiego, na co uznałam za stosowne nie zwracać uwagi przez dwadzieścia lat nieprzerwanej edukacji.

Uśmiechnął się, gładząc ją po policzku. Czuła, że się czerwieni.

- Nie jestem pewien, czy potrafię nauczyć cię wszystkiego w jedną noc, ale będę się starał.

Irytujące, natrętne brzęczenie budzika wyrwało Vicky z głębokiego snu, lecz gdy uświadomiła sobie, że leży w objęciach Joego, postanowiła nie zwracać na nie uwagi. Do tego mogę błyskawicznie się przyzwyczać, pomyślała uradowana. Prawdę mówiąc, już nie wyobrażała sobie, by do końca życia jej przebudzenia mogły wyglądać inaczej.

Odwróciła się ostrożnie, aby go nie obudzić, lecz gdy ujrzała jego twarz, zorientowała się, że niepotrzebnie się starała. Najwyraźniej nie spał już od jakiegoś czasu.

- Dzień dobry - powiedziała, uśmiechając się niepewnie. Zdziwiła się, że czuje się skrępowana jego widokiem, pomimo tego wszystkiego, co wydarzyło się między nimi podczas tej długiej nocy.

- Dzień dobry - odparł, jednak powitaniu temu nie towarzyszył nawet cień uśmiechu.

Poczuła ciarki na plecach. Jak on może...?

- Co się stało, Joe? - Paniczny strach przed śmiercią, jaki był jej udziałem minionego dnia, utwierdził ją w przekonaniu, że niczego się nie zyskuje, odkładając odsłanianie tajemnic na „bardziej stosowną” chwilę.

Jej największy sekret należał już do przeszłości, a z kolei jej niewinność wcale go nie zniechęciła. Wręcz przeciwnie, wydawało się jej, że minionej nocy bardzo odpowiadała mu rola nauczyciela.

Ale to było wczoraj. Poranek okazał się sprawą zupełnie inną. W jego oczach wyczytała zaniepokojenie zmieszane z już dobrze jej znanym smutkiem. Myślała, że gdy będą razem, uda się jej ten żal rozwiązać.

- Trzeba nam było najpierw porozmawiać - przemówił w końcu. - Mimo że to, co stało się tej nocy, było nieuniknione, powinienem być ci coś wyjaśnić, zanim...

Szukał słów, lecz Vicky, zirytowana, uznała za stosowne przyspieszyć tok jego myśli.

- Zanim się kochaliśmy? - podsunęła na początek. - Zanim odbyliśmy stosunek płciowy?

- Przestań. - Posmutniał. - Właśnie dlatego tak bardzo starałem się utrzymać dystans. Od samego początku wiedziałem, że to jest nieuchronne. Inaczej być nie mogło.

- Inaczej być nie mogło? - powtórzyła, odsuwając jego dłoń. Usiadła na łóżku, starannie owijając się kremową kołdrą. - Dlaczego uważasz, że to musi się skończyć w chwili, kiedy dopiero się zaczęło? Dlaczego w ogóle to się musi skończyć?

Zamknął oczy, jakby jej słowa sprawiły mu ból.

- Bo nie mogę dać ci tego, czego pragniesz. Chyba to

rozumiesz. - Znowu w myślach dobierał słowa. - Ponieważ pociągałaś mnie, ponieważ pragnąłem ciebie, dałem się przekonać, że coś z tego będzie, że będę mógł przez jakiś czas cieszyć się twoim blaskiem. Ale w bezlitosnym świetle dnia widać wyraźnie, że przeciwko nam sprzymierzyło się zbyt wiele oczywistych spraw.

- Przeciwko nam? Oczywistych? - zawtórowała zaczepnym tonem. - Chyba nie są takie oczywiste, skoro nie mam o nich pojęcia. Proszę, wymień którąś z nich.

- Na początek, różnica wieku. - Oparł się na poduszce. Wyglądał jak dzikie zwierzę, które znalazło się w potrzasku. - Vicky, jestem dla ciebie za stary. Przed tobą jeszcze całe życie.

- Obaliliśmy ten argument jeszcze w restauracji. Nie pamiętasz? Zapewniam cię, że tej nocy zdecydowanie nie byłeś dla mnie za stary. - Starła się dowcipem zatuszować rozczarowanie. - Jeśli miał to być dowód na to, że jesteś dla mnie za stary, to powiem ci, że cieszę się, że nie znałam cię, kiedy byłeś młodszy. Podejrzewam, że umarłabym z rozkoszy.

- Przestań - szepnął, ona zaś była na granicy łez. - Jestem dla ciebie za stary, bo nie mogę zrobić tego drugi raz. Jesteś młoda i doznałaś jednego poważnego zawodu. Na pewno spotkasz mężczyznę, który dojrzał do tego, aby dać ci wszystko to, na co zasługujesz. Ja już to ćwiczyłem i o mało nie przypłaciłem tego życiem.

Mówił z całą powagą, więc nie mogła inaczej potraktować jego słów, mimo że była zupełnie odmiennego zdania.

- Chcesz przez to powiedzieć, że boisz się spróbować drugi raz? - Nie owijała niczego w bawełnę.

Zanim niechętnie przytaknął, na jego twarzy pojawił się grymas.

- Boję się ryzyka podobnej rozpacz - sprostował. - Do Celi i do mnie należał cały świat. Wykonywaliśmy ten sam zawód, mieliśmy takie same ideały. Byliśmy wspaniałym małżeństwem, a gdy oboje skończyliśmy studia, postanowiliśmy założyć rodzinę.

Mówił z ogromnym wysiłkiem, bardzo powoli, co sprawiło, że bała się nawet mrugnąć, by niczego nie przeoczyć. Właśnie teraz się odkrył, pokazał jej, czym się stał, więc jeśli ona ma walczyć o swoje szczęście, musi wiedzieć, jakie przeszkody będzie zmuszona pokonywać.

Zadumał się, pogrążony w mroku wspomnień.

- Gdy Celia zaszła w ciążę, zrobiła USG w dwunastym tygodniu i powtórzyła je w dwudziestym, ponieważ nie bardzo była pewna dat. Drugie badanie wykazało nowotwór macicy.

W milczeniu wczuła się w jego rozpacz, mimo że od tamtej pory upłynęło sporo lat.

- Ginekolog zalecił natychmiastowe zakończenie ciąży, aby leczenie miało szansę na długotrwały skutek. Celia jednak nie mogła pogodzić się z myślą o zabiciu dziecka i postanowiła zaryzykować. - Wziął głęboki oddech. - Nie udało się... Ani jej, ani dziecku.

Co mogła mu powiedzieć? Żadne słowa nie są w stanie złagodzić jego bólu po tak tragicznej stracie żony i dziecka. Współczuła mu z głębi serca. Jednocześnie stało się dla niej jasne, dlaczego był taki wściekły na Francine, gdy ta odrzucała jego pomoc. Musiało to być dla niego koszarne *déjà vu*.

Ale Joe przeżył, a ona kocha go tak bardzo, że będzie o niego walczyć.

- Więc postanowiłeś zamknąć się w swojej bezpiecznej jaskini. Żeby już nigdy podobny ból cię nie osiągnął?

Rzucił jej zaniepokojone spojrzenie, jak zwierzę, które wyczuło niespodziewane zagrożenie.

- Żyjesz jak pustelnik, ograniczasz kontakty z resztą świata, widzisz tylko pacjentów, a po pracy zamykasz się w domu, żeby od wszystkiego się odciąć.

- Niezupełnie...

Nie dała mu dojść do słowa. Uznała, że nie pozwoli jego tchórzliwemu ego przeszkodzić jej w osiągnięciu celu, który był już tak blisko.

- Wiesz co? - Rozglądała się po pokoju, wyobrażając sobie, jak przytulnie wyglądałby odmalowany, z nowymi zasłonami do samej ziemi. Cały dom Joego był wręcz stworzony dla szczęśliwej i kochającej się rodziny. - Wiesz co? Cmentarze też są po to, aby chronić ludzi, ale najpierw trzeba umrzeć, żeby się tam znaleźć.

Kątem oka dostrzegła jego kurczowo zaciśnięte pięści. Bezbłędnie trafiła w czuły punkt.

Nie zamierzała go ranić, bo samo życie mu tego nie oszczędziło, ale chciała go zmusić, by raz jeszcze przemyślał swoją decyzję, tym razem biorąc pod uwagę możliwość trwałego związku.

- Nie wyobrażasz sobie, co przeżyłem - bronił się.

- To prawda - przyznała. - I mam nadzieję, że będzie mi to oszczędzone. Ale to nie znaczy, że zakopię się w jakiejś norze, żeby tego uniknąć. Czy nic dla ciebie nie znaczą te wszystkie lata, które spędziliście razem, zanim

Celia zachorowała? Czy były złe? Czy nie byliście szczęśliwi?

- Byliśmy bardzo szczęśliwi - odparł. Żar, z jakim to powiedział, sprawił, że poczuła lekkie ukłucie zazdrości. - Myślisz, że tak bym to przeżywał, gdyby było inaczej?

- Więc nie żałujesz, że ją spotkałeś?

- Ani sekundy! Była cudowna, kochająca, wspierała mnie we wszystkim. Nie oddałbym tego za skarby świata...
- Urwał niespodziewanie.

Coś zdecydowanie innego niż zazdrość malująca się na jej twarzy kazało mu przerwać tę litanię. Ujrzawszy w jego oczach zdumienie, zrozumiała, że nareszcie doznał olśnienia.

- No tak... - skapitulował i tylko westchnął.

- Przeżyliście razem wiele udanych lat. Na pewno masz tysiące szczęśliwych wspomnień - ciągnęła już łagodnym tonem. Położyła mu rękę na ramieniu. - Gdy Celia umarła, oddałeś się rozpaczycy z powodu jej odejścia, zamiast cieszyć się i wspominać to wszystko, co sprawiło, że ją tak bezgranicznie kochałeś.

- Jak na osobę tak niewinną, jesteś wyjątkowo mądra.
- W jego głosie brzmiała nuta podziwu. - Czy na pewno nie masz więcej niż dwadzieścia sześć lat?

- Jestem starsza z każdą minutą - zauważyła. - Gdy ty będziesz miał dziewięćdziesiąt jeden lat, ja będę obchodzić osiemdziesiąte urodziny.

Z przerażeniem zauważyła, że znowu spowaźniał. Chyba nie zamierza wytoczyć nowych kontrargumentów?

- Czy teraz ja mogę z czegoś ci się zwierzyć?

Bała się. Dobrze wiedziała, że czasami lepiej jest zała-

twić coś szybko, niż rozwlekać to w czasie. Tak przynajmniej przekonywała swoich pacjentów, gdy musiała zmienić im opatrunek.

Nie wyjdzie z tego domu, dopóki nie wykorzysta całej swojej amunicji, nawet gdyby sama miała wysadzić się w powietrze.

- Kolejny sekret? - zaniepokoił się. Pierwszy, tajemnicę jej dziewictwa odkrył, gdy nie mieli już odwrotu.

- Ostatni - zapewniła go. - Całkiem niewinny z punktu widzenia ludzkości, ale dla mnie bardzo ważny.

- A dla mnie?

- To zależy, jak to przyjmiesz - spieszyła się.

Żałowała, że nie zdobyła się na to wyznanie w nocy, gdy oboje dali się ponieść coraz to nowym falom namiętności. W jasnym świetle dnia, kiedy siedzieli sztywno pod kołdrą na dwóch brzegach łóżka, okazało się to zdecydowanie trudniejsze.

- Ja też mam pewną tajemnicę. - Oplótł palcami jej dłoń. - Szczerze mówiąc, mam ich jeszcze kilka. Mogę mówić pierwszy?

Obserwowała go zafascynowana niesłychaną zmianą, jaka w nim zaszła w ciągu paru minut. Jakby zdjęto z niego niewyobrażalny ciężar, aby nareszcie umożliwić mu wynurzenie z obezwładniającej ciemności.

Była tak zajęta przyswajaniem tych różnic, że tylko skinęła głową.

- Mam nadzieję, że mój pierwszy sekret jest podobny do twojego - zaczął. Podniósł jej dłoń do warg i zaczął całować palce. - Kocham cię, Vicky. Dzięki tobie w moim życiu ponownie zaświeciło słońce.

Nie tak to sobie wyobrażała.

- A ja kocham ciebie, Joe. - Zaskoczona, aż pisnęła, gdy nagle przyciągnął ją do siebie i zamknął w ramionach.

Dzięki naukom pobieranym przez całą noc wystarczyło kilka pocałunków oraz delikatne pieszczoty, by rozniecić na nowo płomień pożądania. Pomimo narastającego z każdą chwilą podniecenia dręczyła ją pewna myśl. Ulegając jej, niechętnie oderwała wargi od jego ust.

- Przyznałeś się do kilku sekretów - przypomniała mu.

- Wiedziałem, że mi nie darujesz. - Uśmiechnął się.

- Twój nadzwyczajny mózg zbiera drobne szczegóły i nie daje ci spokoju, dopóki nie dostaniesz wszystkich odpowiedzi.

Żachnęła się.

- Wcale cię nie krytykuję. Uważam, że to jest szczególny dar i myślę, że dzięki niemu jesteś taką wspaniałą pielęgniarką. Twoi pacjenci bardzo sobie cenią twoją troskę o drobiazgi.

- Nie robię niczego nadzwyczajnego... Zaraz! Nie zmieniaj tematu. Czekam na twoją drugą tajemnicę.

- Nie udało się! - Rozpromienił się. - Właściwie jest całkiem niewinna. - Gładził ją po brzuchu, po czym przesunął dłoń niżej, między uda. - Kochaliśmy się bez żadnego zabezpieczenia. Pomyślałem sobie wtedy, że gdybyś zaszła w ciążę, mógłbym cię namówić, żebyś została moją żoną.

Rozbawiło ją, że w tym samym czasie przyszedł jej do głowy ten sam pomysł.

- Nigdy nic nie wiadomo - podjęła ochoczo ten temat.

- Jeśli mi się oświadczysz, byłabym skłonna wyjść za ciebie, nawet zanim będę w ciąży. Sadzę, że miesiąc miodowy jest

znacznie bardziej atrakcyjny, jeśli panna młoda nie cierpi na poranne mdłości.

- Jesteś tego pewna? - Był zachwycony.

- Od dawna - stwierdziła z przekonaniem. - To był ten mój prawdziwy sekret. Że cię pokochałam. Nie mogłam się nim z nikim podzielić, tylko z tobą. Ale nie chciałeś go poznać.

- Teraz już go znam. - Delikatnie musnął jej wargi. Tak samo jak za pierwszym razem. - I teraz chcę, żeby wszyscy jak najszybciej się o tym dowiedzieli. Przede wszystkim jednak muszę dowiedzieć się wszystkiego o tobie. Mam na to całe życie.

- Koniec tajemnic?

Odwzajemniła mu się namiętym pocałunkiem. Uznała, że to cudowne uczucie, tak gorąco się całować. Joe tylko jęknął i z zapałem przystał na wyrafinowany pojedynek.

- Zdecydowanie - szepnął. - Nawet tych niewinnych.